

Zalozenie teatru A. Rojewskiego 2001.  
Opis teatru 2014r. B. Rojewski



Białystok 15-269

AK  
Lucia  
Okr. Stanisławów

Fot. jest

Fo  
Odpisai na  
ostatni list  
A. Roj  
Wroczyński jedynka  
t. 2917 ksd.

BOGACZÓWKA Lucja-Helena

zam. Czernonka  
ps. "Nike" "Lucie"

2179/10K

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 2179/usk

BOGACZÓWNA Lucja Helena ps. Mike'  
zam. Czerwonka

✓ I/1. Relacja ✓

✓ I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

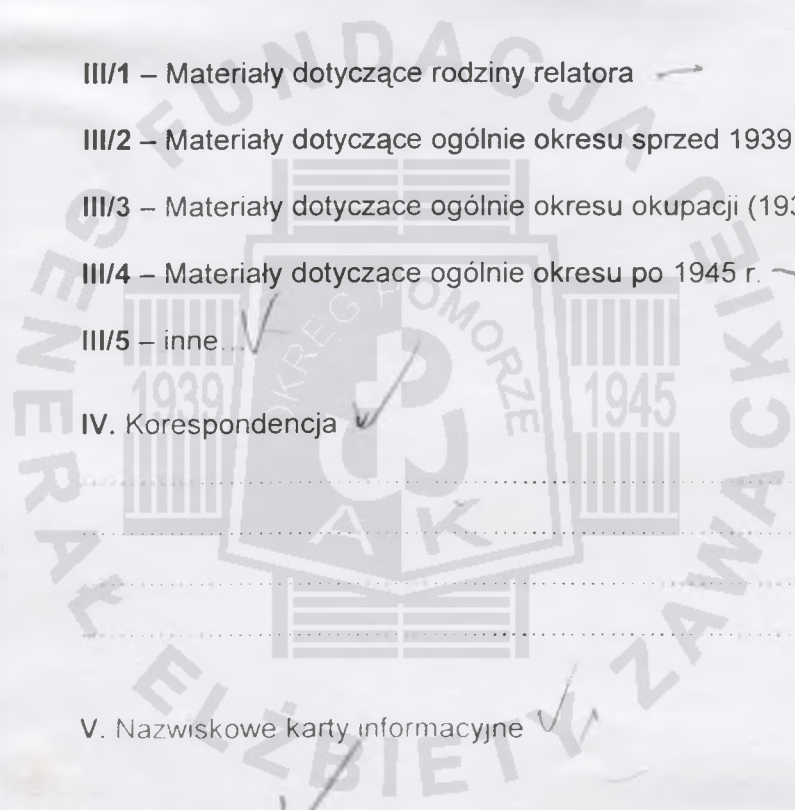
III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... ✓

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓



# I/1. RELACJA

- relacja własna, rkps (oryg.), k. 5, s. 1-5
- uzupełnienie relacji, mps (oryg.), k. 1, s. 7-8



Lucja Helena Bogaczówna - Gienkowska

nr. 3. I. 1926 w Borysławiu woj. lwowski

Wpłynęło dnia 29. XI. 1944 I 111  
Ldz 3666 WSK 2000  
D.O.

1) ps. „Nike” - kurierka Komendanta Rejonu Żydowski ppłt.  
Gustawa Lisaka ps. „Skarbaniec” - luty 1942 - maj 1944 r.

2) ps. „Lucia” - kurierka Łasztępcy Kom. Godolewskiego Stawianów  
ppłt. Władysława Mroza ps. „Baba” - maj 1944 - luty 1945 r.

Kiedy w latach 40-tych występowałam do ŻBOWID-u (z poleceniem p.  
Lisaka i za jego radą), jedynie pierwszy etap mojej pracy można było  
ujawnić i tak pozostało, gdyż tutaj. Koło AK delikatnie mówiąc drwin-  
ny ma stosunek do takich osób jak ja.

Przebywając w Żydaczowie a od wiosny 1943 r. w Chodorowie, utrzymy-  
wałam stały kontakt z Inspektorem w Strzyżu, przesyłając w obie  
strony wszystko, z meldunkami, prasą, i bronią wrogą dla nasze-  
go Rejonu. Wiosną 1944 odbyłam kurs sanitarny w Kochanowie, gdyż  
szykowano mnie do Oddziału Lesnego w Rejonie Kładziono na cisk na  
tworzenie „samobrony”, gdyż ludność polska była terroryzowana  
przez Ukraińców. Tej wiosny w okolicy Żydaczowa znalazł się Od-  
dział Lesny, zaszyty w gęszczeniu nad rzeką Strzyż i należało mi dos-  
tarczyć żywność. Po wykonaniu tego zadania, w obawie przed de-  
konspiracją Organizacji, na rozkaz Inspektora, który towarzyszył  
Oddziałowi, musiałyśmy opuścić miasto. W Strzyżu, w obecności pana  
w średnim wieku i towarzyszącej mu dziewczyny, Inspektor kpt.  
Pacak - kuzniński podziękował mi za służbę, awansował do  
kaprała podch. obiecując odzwierzyć za odprawę w sposobny m  
momencie. Zabraniając powrotem do Żydaczowa, zapropono-  
wał przejście do Drohobycza, pod rozkaz „Bacy”. Wyjaśnił, że  
zostały jakieś zmiany administracyjne w Organizacji, muszą  
więc przyjąć konfe pseudo a „Baca” potrzebuje pilnie kurierki.

11-2  
1712

W czerwcu 1944 r. znaleźliśmy się we trójce „Baba”, „Graszyna” i ja „Lucia” na kwaterze drohobyckiej. Towarzyszyłam „Bacy” w nowych kontaktach w Drohobyczu, Borystantin i Samborze, obsługując następnie ten teren. Najczęściej bywałam w Stryju, skąd płynęły wiadomości dla „Bacy”. Komunikacja kolejowa już nie istniała, obsługiwałam teren z pomocą, rowerem. Przedostałam się z „Bacą” do Sambora w czasie walk naszego Oddziału z Niemcami o to miasto. W początkach sierpnia 1944, gdy do Drohobycza weszli Rosjanie, „Baba” wysłał mnie do Stryja z meldunkiem, że ma zamiar w myśl rozkazów wyższych rozkazów udać się do wojennej Komendy Miasta a kiedy w pośpiechu wrócłam ze Stryja z rozkazem zabraniającym wyostawiania się, on już tam był. Oczekaliśmy jego powrotu przez resztę dnia i noc a koło południa wysłaliśmy z kwaterą z zamiarem udania się do woj. kom. M. ona w charakterze żony, ja zaś jego siostry, aby dowiedzieć się dlaczego został zatrzymany. Nie uszliśmy daleko, nieopodal naszej kwatery, na pustej, polnej drodze zatrzymał się obok nas kopkonny, krysty Łosik, z którego wyszedł „Baba” a za nim wysokiej rangi oficer radziecki. Następni przedstawili nas jako swoje współpracownice, ów oficer wymienił swoją rangę podkomnik - general? Ustanowił szukać nam dionie wyprzedzić pamiętne słowa: „Taki my tu pier sążnik”. „Baba” był zatrzymany, zostaliśmy się, wrócłam do domu do Borystantina, ale jeszcze czas jakiś na jego polecenie doprowadzałam ukrywających i internowanych w drohobyckich Brygidkach chłopców do Borystantina, gdzie umieszczano ich na kopalniach, chroniąc w ten sposób. Ze Stryja, od „Bacy” przybywała Kurierka - widowłosa „Graszyna”. Na jego polecenie wyjechałam do Sambora a zimą do Stryja. Tu utrzymywałam kontakty między „Bacą”

I 11-3 I 11-3

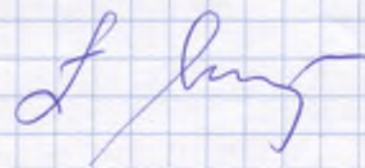
i lokalem kontaktowym p. „Eleonory” na ul. Jabłonowskich 4. 14 lutego 1945, kiedy miałam już wynajęty pokój na ul. Łachiego i wymalowany paszport rosyjski, wyszłam do „kotła” tu założonego. Przeczytałam koszmarną świadomość i w jednym z łóżek leży trup tak pełnej dobroci p. „Eleonory” (jej mąż, ręką wysuniętą się spod pościeli) widziamej dopiero co a w drugim całe mężczyzny. Oboje otruli się w chwili najścis. NKWD. Wśród zatrzymanych tu osób tylko dwie kobiety - często spotykana tu wielokrotnie młoda osoba, o której nie mi widziałam wówczas i do dziś nie wiem kim była, no i ja. Nocą zamieszono nas do więzienia Łachiego. Szybkie, pobieżne, zastraszające przesłuchania, uświadczanie i doprowadzenie przed oblicze „samowolnego gospodarza”, jak informował się w tym strażnik. Okazał się nim znajomy z „drohobyczkiego wyzwolenia” wysokiej rangi oficer p. Ulanow. Rozpoznał mnie natychmiast a zgadał jedynie wydana „Bacy” i „Agnieszki” - komendantki Wojs. Śp. Kobiet z Borystawia, jak mi wiadomo namowy- cialki, z którą, slykałam się w Borystawiu. Ubrdał sobie, że jestem ko- chanką „Bacy” a gdy oburzona mierzwił dyplomatycznie wyprowadza- tam go z błędem, nie uszło mi to bezbolesnie. Z „Bacą” spotykałam się codziennie w miescie, z góry omówione było miejsce spotkania i gdy mi zjawiał się o właściwej porze i miejscu, natychmiast domys- lił się, że wpadłam, mogłam być o niego spokojna, zaś „Agnieszki” nie widziałam od lata 1944 r. Nie było ze mnie rozpytania, co oznajmił mi przy następnym spotkaniu, jak również i to, że nie jestem mu już potrzebna, gdyż aresztował już i „Bacę” i „Agnieszke”. Wkrótce po tym przewieziono mnie do Drohobycza i umiesz- czono w piwnicy NKWD. Nie było żadnych przesłuchań a pełnej nocy zmok przewieziono z Drohobycza i pozostawiono na ulicy w Bo-

I 114y

11-4  
rystawiu ze słowami „idi olomoy” i była już piękno wiosna.  
Wkrótce przekonałam się, że jestem pod nadzorem, wyszłam do NKWD  
w Trokobyozu, śledzono, w tej udziece dotrzymałam do najbliższego  
transportu, do którego udało się załadować z rodzicami i bra-  
tem i ryłgokraci na Ziemiach Odrzyshanych.

W latach 80-tych śniadałam pełną relację do londyńskiego AK,  
skąd otrzymywałam pomysłowe odwołania. Nie znałam wówczas  
funkcji ludzi a również ich nazwisk. W zrozumieniu faktów  
i poznanie ludzi z którymi i dla których pracowałam, dopo-  
mógł mi p. prof. Węgurski swoim publikacjami i zyskiwając ko-  
respondencję. Któż mi znał ps. „Baba”. Szukałam go wśród „lichociem-  
nych”, bo „Brazyna” - Julia Korpakówna tak o nim mówiła, choć  
o sobie też mi mówiła prawdę, utrzymując, że jest Szwajcar. Ins-  
pektor stryjski przedstawiając się w Żydostwie ukrył mi własnego  
o cudzego pseudo „Juhas”, choć „Brazyna” zwracała się do  
niego „Andrzej”, ku jego niezadowolaniu. O tym, że „Skarbowiec”  
dobrze znany mi sprzed wojny p. liśki był komendantem  
Rejonu Żydów, dowiedziałam się od niego wiele lat po  
wojnie. Zapewne wszystkie te podstępny były w owym czasie  
meodzone, mi wolno było maczej, wymagał tego tamten  
Trudny czas, ale jakże utrudniał odwołanie się.

To tyle o mnie i moich perypetiach młodości



Jakiś czas temu przeczytałam artykuł, gdzie wspomniano że zbiera ktoś wiadomości o kobietach z AK. Kontaktowałam się z Kołem AK, prof. Dobroniśkim, ale nigdzie mi wysłałam konkretnych wskazówek. Dopiero p. Julia Klack udzieliła mi adresu Fundacji, więc piszę choć nie wiem czy interesuje Was Polska podziemna - Obywatelstwo AK. Smutno mi, że nasi mężczyźni tak szybko zapomnieli kto w czasie okupacji zapewniał im bezpieczne schronienie, wstęgi i opierunek, kto nosił meldunki, prasę, broń i kto troszczył się o ich pozostawione przez nich z komierzości obuwie. Była to rzecz oddanych sprawie kobiet. Sama, jako bardzo młoda dziewczyna, doznawałam ich troskliwości w moim tatarskim bytowaniu. Kończę, że mi znam ich pseudonimów choćby, ale pamiętam także ich dobroć. Była taka pani w Stryju, gdzie nocowałam i byłam komunistką w bardzo skromnym lokalu, w domku stojącym przy torach kolejowych, nieopodal dworca. — Pierwszego dnia, gdy odbierałam bardzo ciężko, walczyłam z broniami w Stryju (rok 43), w osobie wydającej mi je rozpoznałam dobrze znamą mi z okresu mojego wrystowskiego dzieciństwa, koleżankę mojej ciotki p. Wandę Gindówną z Hubioz. Wiedziałam, że jest żoną oficera. — Kiedy odbywałam kurs sanitarny w Kochanowie, w zabudowaniach dworskich znajdowało się szwalnia kouspirowyja. Tam uszyto mi wstęgi, bluzkę ze spadochronem i szorty, jako mundur sanitarny. Kilka pan przy maszynach do szycia obsługiwało Oddział Lesny. — Jakiś czas mieszkałam w Samborze (rok 44) w młodej matki domu małych dziewczynek, była żoną, zarodowego podoficera i z wojny nie wrócił. Miał, tak niewiele, ale dzieliła się ze mną



mich jej Bóg wynagrodzi. — Pamiętam starzą, miłą, ciepłą panią we Lwowie, z kamienicy położonej na krótkiej uliczce odchodzącej od ul. Syrakowskiej w lewo, gdy o zimie wpadałam z Trasy samborskiej skośniętą z zimna, w lichym ubraniu, bez tyżki strony przez cały dzień. Pamiętam jej za troską, twarz i gorące ziemniaki, zalane sosem cebulowym, miskę gorzącej wody do mycia, ciepłe, czyste postanie — samo skrzęście (zima 45r). — Wdzięczność kurierce, rudowłosej „Grażynie” we Lwowie za obiad rodzinny. Ni tyle za supę kartoflaną i talerz płaciki (po 2 na głowę) ile o to całe grono jej liźnej rodziny, tak żyćliwie dla mnie (zima 45r). — Główną moją wdzięcznej, między jej Mamią, gdy po otrzymanym moim „grypsie” z drohobyczkiego MKWD odnalazła mnie tam właśnie po kilku miesiącach niewidzą o mnie i nie wahała się wejść w te niegościnnie progi.

Summa jestem, że znałam tak pełne oddanie kobiety, takie zostaną w moim wdzięcznym sercu i pamięci i choć żadnej już nie odnajdę i nie mogę osobliwie wyrazić mojej wdzięczności i szacunku, chciałabym chociaż pozostać te słowa

*L. G.*

P.S. Proszę o powiadomienie czy otrzymaliście Państwo moje pisanie, jeśli jest mi przydatne, proszę o zwrot.

*L. G.*

Lucja Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24/59  
15-269 Białystok  
L.2179/WSK

I/1-7

Wpłynęło dnia krz 5.06.  
Ldz. 2385 HSK 0001  
Białystok, 25.V.2001

I 117

Szanowna Pani !

Uzupełniam brakujące dane o sobie: Lucja, Helena, córka Stanisława i Tekli Czuchryi, ur. 3.I.1926 r. w m. Borysław, pow. Drohobycz, woj. Lwów. Ojciec Stanisław Bogacz, wiertacz w przemyśle naftowym w Borysławiu, uczestnik wojny ukraińskiej, pod dowództwem wówczas jeszcze por. Stanisława Maczka, potem wojny bolszewickiej, aż do jej zakończenia. Będąc podoficerem rezerwy, wyreklamowany w r. 1939, jako członek Związku Rezerwistów w Borysławiu, uczestniczył w specjalnych oddziałach, powołanych do ochrony przemysłu naftowego i ludności polskiej, przed bojówkami nacjonalistów ukraińskich, internowany przez Niemców, uciekł w drodze. Matka Tekla - przy mężu, dzielnie walczyła o życie rodziny w ciężkich latach wojny z głodem, jaki trawił miasto. Oboje nie żyją.

Przed wojną ukończyłam pierwszą klasę w prywatnym Gimnazjum i Liceum Im. Kazimierza Wielkiego w Borysławiu, byłam harcerką. W latach 1939-1941, w dalszym ciągu uczyłam się w naszej szkole, przemianowanej wówczas na 10-cio latkę, przez Rosjan. Pod koniec 1941 r., gdy sytuacja żywnościowa w mieście stawała się dramatyczna, odstawiono mnie do rodziny do Żydaczowa, gdzie było mniej głodno i byłam zabezpieczona od wywózki na roboty przymusowe do Niemiec. Ojciec wyrzucony z pracy przez Sowietów wcześniej, jako element niepożądany, pracował na wsi, więc mama walczyła już tylko o życie młodszego brata i swoje, było nieco łatwiej.

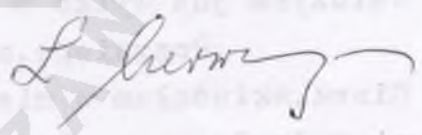
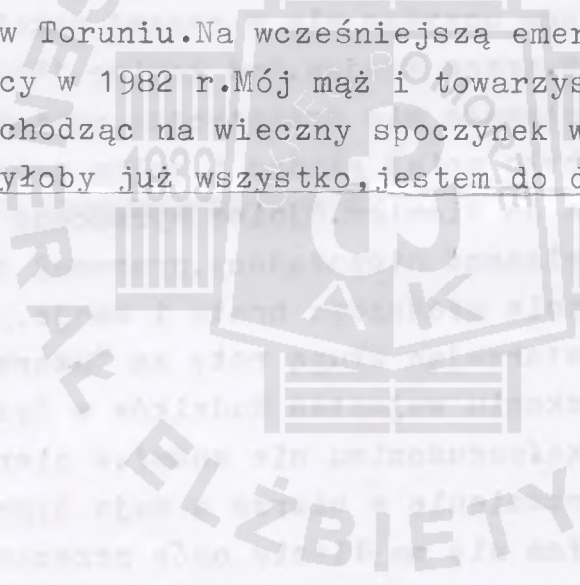
Przysięgę, powtarzając długą rotę za "Skarbowcem" - ppor. Gustaw Cisek, składałam w mieszkaniu wujostwa Rudzików w Żydaczowie, w obecności wuja Zygmunta Rudzika, pseudonimu nie znam, w pierwszych dniach lutego 1942 r. Fikcyjne zatrudnienie w biurze u wuja Zygmunta, okazało się nie wystarczające i znalazłam się na liście osób przeznaczonych do robót przymusowych, o czym uprzedziła mnie przedwojenna koleżanka Ukrainka. Wtedy to wiosną 1943 r. umieszczono mnie w Urzędzie Skarbowym w Chodorowie, gdzie pracował p. Cisek - "Skarbowiec", jeszcze przed wojną. Załatwiono mi mieszkanie u miejscowego kolejarza i obiady w Caritasie, u sióstr zakonnych, jedynie do Stryja przybyło kolejnych 30 km.

3 miesiące później, po owym pozornym uwolnieniu z więzienia, najbliższym transportem rodzina nasza wyjechała z Borysławia w nieznaną. Dowieziono nas do Wałbrzycha końcem sierpnia 1945 r. Pracując w Społdz. Mleczarni, od września wróciłam do przerwanej nauki w miejscowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym i uzyskałam małą maturę w r. 1946. We wrześniu 1947 r. zdałam maturę w Liceum typu przyrodniczego. Po maturze przenieśliśmy się do Wrocławia, z zamiarem studiowania, tymczasem zatrudniłam się w Starostwie Powiatowym wrocławskim, lecz w marcu 1948 r. zmieniłam stan wolny, na małżeństwo.

Mój mąż studiował medycynę weterynaryjną a w czerwcu 1949 .urodził się nasz syn Witosław Marek.W 1950 r.przeniosłam się ze względu na dziecko do Wałbrzycha i pracowałam w Nar.Banku Polskim aż do 1952 r.,gdy mąż Edward otrzymał dyplom i nakaz pracy na woj.białostockie.Zamieszkaliśmy w Kowalach Oleckich,bardzo trudne warunki bytowe.Ze zdewastowanej posesji,trzeba było stworzyć warsztat pracy dla męża,lecznicę,zaś dla nas i przyszłego personelu lecznicy mieszkania,miescowość mocno wyludniona,brak zaopatrzenia.Tutaj w 1952 w grudniu urodziła się nasza córka Maria Jolanta.Były kolejne przeprowadzki,ale każdorazowo mąż musiał tworzyć wszystko,od podstaw,co odbijało się na rodzinie.Musiałam więc zadbać o nasze dzieci,aby nie odbiegały w rozwoju od rówieśników,wychowywanych w lepszych warunkach,większych ośrodkach.Tak to utkwiałam na wiele lat w domowych pieleszach.Dopiero w 1965 r.znalazła się dla mnie praca,w stworzonej przez męża Stacji Hodowli i Unasieniania Zwierząt w Porosłach k/Białegostoku.Wkrótce syn rozpoczął studia na WSSP w Gdańsku a w 3 lata potem córka na Uniwersytecie w Toruniu.Na wcześniejszą emeryturę odeszłam z tego zakładu pracy w 1982 r.Mój mąż i towarzyszy życia opuścił mnie,odchodząc na wieczny spoczynek w r.1992.

To byłoby już wszystko,jestem do dyspozycji

Z poważaniem

## I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora

- dowód tymczasowy, kopia, k. 1, s. 1
- Legitymacja [nr 40924] Medalu Wojska, Londyn 1948, kopia, k. 1, s. 2
- oświadczenie świadka G. Ciska, Rzeszów 1973, mkps (kopia), k. 1, s. 3
- Legitymacja [nr 358-83-12] Krzyża Partyzanckiego, kopia, k. 1, s. 4.
- Legitymacja [nr 38366] Krzyża Armii Krajowej, kopia, k. 1, s. 5-6
- oświadczenie świadka E. Maliszewskiej - Gryczko, Kołobrzeg 1994, mps (kopia), k. 1, s. 7



I211

FUNDACJA

ВРЕМЕННОЕ УДОСТОВЕРЕНИЕ

ТИМЧАСОВЕ ПОСВІДЧЕННЯ

Действительно до Один год

Дійсно протягом одного року

- 1. Фамилия, имя и отчество: Степанович Степанович
- 2. Дата рождения: 24.1.1926 года
- 3. Национальность: польск.
- 4. Социальный статус: ученик
- 5. Отношение к военной службе: не годен
- 6. Составитель документа: Иванов

- 1. Как давно удостоверение: 5 дней
- 2. На основании каких документов выдано удостоверение: справки № 866
- 3. Если, выданный с удостоверением удостоверение: Фамилия, имя и отчество владельца:

№ п/п	Фамилия, имя и отчество (или по документам)	Пол	Дата рождения	Удостоверение выдано на основании каких документов	На основании каких документов выдано удостоверение	
					№ документа	Или

№ 5/17537



Дата выдачи: 7/2-46г.

Подпись командира: Иванов  
Подпись владельца: Иванов

не zgodny tu danych w dowodzie, powinno być 3.1. a nie 24.1. MKD uważa dowód za fałszywy

I212

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr .....40924.....

Stopień imię, nazwisko .....szer.....

BOGACZ-CZERWONKA ZUCJA ps. "NIKE"

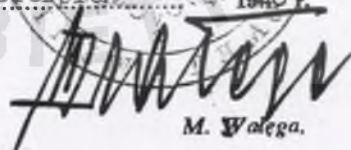
Oddział .....AK.....

Odnaczony został po raz 1, 2 i 3

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu  
Głównego  
z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15. Sierpień ..... 1948

  
M. Walega.

Ciechi Gustavi „Skarbowiec”  
Kreerim, ul. Zolnaja 12. m. 21.

I 213  
Kreerim, dnia 3 marca 1973 r.

## Oswiadczenie swiadka

Ja, jako uczestnik --- komendant rejonu Lydzaczan et Sz od 1942-44 r.  
pseudonim „Skarbowiec”, stopień wojskowy pułkownik (wojwos)

oswiadczam,

ze Ab. Grewankas Eucje córka Bogacz  
urodz. dnia 3 stycznia 1926 r. w Korytawiu  
jest mi znana osobicie jako uczestniczka -- Abonii Krajowej w Lydzaczan  
od 1942-1944 roku. Osobicie zapamiętałem przede mną do sprawy konspiracyjnej  
i powierzone jak materialny zadawanie mi wersji wykonanie zadań  
i poleceń do wykonania -- wśród inchojów polskiej i w obecności chińskich  
oraz w różnych okolicznościach i sytuacjach wykonując takie warunki, jak i ob-  
cym terenie

Wzajemny wymiennie posiadata pseudonim „Ewka” i pełniła funkcję ---  
jako łączniczka (kurier), przesłała i przewoziła materiały konspiracyjne  
-- sprawozdania o ruchach wojsk niemieckich, meldunki i rozkazy. Przywoziła  
ze Łowju (oddziału 33 km) broń i amunicję do bractwa oddziału i obrony Polaków  
przed mordobójczymi napadami band NKWD. Dostarczyła również przesyłkę jedliwej  
w herbie M. M. ob, alwytej w szeregu pod woje Łowje. W czasie wykonywania  
swoich zadań -- bardziej chwili mawiana była na imię, a nie było przypadek, aby  
odmówić wykonania rozkazu. W razie trudności kwalifikuje się do szeregu Łowid.

--- Zarząd Obroga w Kreerowie cbr 1952

Ciechi Gustavi por. rez.

I214

POLSKA RZECZPOSPOLITA  
LUDOWA

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

odznaczony/a został/a

LEGITYMACJA

Ob. CZERWONKA

Nr 358-83-12

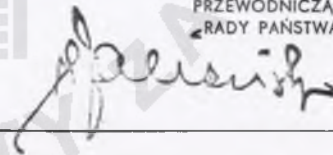
Lucja c. Stanisława

WARSZAWA

KRZYŻEM PARTYZANCKIM

dn. 16 marca 1983 r.

PRZEWODNICZĄCY  
RADY PAŃSTWA





1215

**LEGITYMACJA  
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr. 38366.

2117

I216

FUNDACJA  
 GENERAL  
 1939  
 ELŻBIETA  
 WACHALEWICZ

Nazwisko ..... BOGACZ-CZERWONKA .....

Imię ..... Lucja .....

Pseudonim ..... Nike .....

Przydział ..... A.K.Okr.Lwów .....

..... plac Żydaczów .....

Odnaczony został

**KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ**

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku Żołnierza Polski

Podziemnej w latach

1939 — 1945 Przewodniczący

Podpis: Komisji Krzyża

M. Mandziara "Sivyy"

Londyn, dnia ..... 3.3.87. ....

Oświadczenie

Ja niżej podpisana Eufrozyna Maliszewska ur. 02.03.1916 w Borysławiu, córka - Bazylego i Ewy, szeregową z cenzusen, pseudonim : "Zocha", "Ziuta". Przydział: Okręg AK Stanisławów. Odbyłam służbę w szeregach AK od 06.1942 - 07.1944. Zaprzysiężona w Żydaczowie. Przydzielona do lokalnej placówki AK w Żydaczowie gdzie po przeszkoleniu pełniłam funkcje łączniczki. Zamieszkała obecnie w Kołobrzegu przy ul. Dubois 21. Członek b. partyzantów AK Koła Miejskiego ZBoWiD w Kołobrzegu nr. legitymacji 0575584.

- oświadczam, że znana mi osobiście "Nike" - Lucja Bogacz, pełniła w Okręgu AK Stanisławów, Rejon AK Żydaczów funkcje łączniczki. Utrzymywała łączność ze Stryjem w latach 1942 - 1944. Wiosną 1944 kiedy to wspólnie z "Długin" dostarczyłyśmy żywność ukrywającemu się oddziałowi leśnemu AK w pobliżu wsi Zarzecze nieopodal Żydaczowa. Obie ze względów bezpieczeństwa miejscowej organizacji dostałyśmy rozkaz opuszczenia miasta. Rozkaz ten wydał nam inspektor Stryja "Jukas". Wiedząc niezależnie od działalności łączniczki "Nike" odbywała w Kochawinie kurs Sanitarny, a następnie z rozkazu Inspektora "Jukasa" przeszła pod rozkazy "Bacy" na teren Drohobycza.

*Eufrozyna Maliszewska Gypako*

REPERTORIUM A Nr 877/94

Poświadczam własnoręczność podpisu:

*Eufrozyna Maliszewska*  
*córka Bazylego i Ewy cenzusen*  
*Kołobrzeg ul. Dubois 21*  
*DB 9884605*

Tożsamość i tożsamość podpisu zawiada i na podstawie dowodu osobiście  
 o treści i w sprawie w pi. anych odpowiednio p. ich nazwiskami. Za poświadczanie podpisu pobrano opłatę skarbową z § \_\_\_\_\_ rozp. o opłacie skarbowej w kwocie \_\_\_\_\_ i wynagrodzenie notariusza z § 13 rozp. w sprawie opłat notarialnej w kwocie 30.000 zł.

*Kołobrzeg, dnia 24 lutego 1994.*



NOTARIUSZ

Malina Kolesińska-Scienka



Wpłynęło dnia 29. XI,  
L.dz. 3666 / HSK / 2000

- II - Materiały uzupełniające relację „Powrót do ławicych lat...” kserokopia maszynopisu format A-4, k. 8, s. 12,  
Podpis odręczny relatorów, data opracowania stycznia 2002
- Drugi egzemplarz tekstu „Powrót do ławicych lat...”  
kserokopia j. n. K. 6, s. 12.



279u WSK 1000

Powrót do tamtych lat, mojej wczesnej młodości po 56-ciu latach, ma tę dobrą stronę, iż jestem w stanie dziś, po mozolnych, wieloletnich poszukiwaniach wiele wyjaśnić a i samej pojąć wiele faktów i rozszyfrować ludzi, którzy byli moimi przełożonymi. To, co jest dla mnie ciągle jeszcze tajemnicą, już tylko cudem może się wyjaśnić, ale słaba na to nadzieja.

Swoją historię zaczynam od 1 września 1939 r. w moim mieście rodzinnym Borysławiu - sercu polskiego przemysłu naftowego. Miejsca mojego urodzenia, czarownego dzieciństwa, śmierci mojego dziadka Piotra Bogacza w strasznym wybuchu i pożarze szybu naftowego, miejsca pracy mojego ojca ~~zjss~~ Stanisława, obrońcy tej ziemi czasu I Wojny Światowej, moich kolegów wywożonych w 1941 r., sądzonych za patriotyzm a potem w 1945 r. osadzanych w gułagach na wiele lat, rodziny i przyjaciół rozproszonych po całej Polsce i nie tylko a to z tej przyczyny, iż miasta, które ja pamiętam i mam ciągle w sercu już nie ma.

Rozpoczęcie roku szkolnego a i wojny, zaczęło się dla nas na podwórku naszego Gimnazjum i Liceum Im. Kazimierza Wielkiego, w karnych szeregach harcerskich, gotowych do służenia Ojczyźnie. Niestety, ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu, nas najmłodszych odsyła się do domów, nie jesteśmy należycie przeszkoleni. Niestety, zaledwie przez 1 rok 38/39 mogliśmy cieszyć się życiem w zastępach harcerskich. Miałyśmy jedynie przedsmak życia w gromadzie, szkoleń, bo wkrótce nawet nawiązanych przyjaźni nie można było niejednokrotnie utrzymać.

Trwa wojna, jakże różna od tej, jaka ma miejsce w "Polsce Centralnej", jak u nas mawiano, gdzie wróg jest jeden, wiadomy, u nas jest inaczej i chyba trudniej.

Zanim na krótką chwilę weszli do miasta Niemcy, by je szybko opuścić, zetknęliśmy się z nacjonalizmem ukraińskim. Nieoczekiwanie, przynajmniej dla nas najmłodszych, uczących się obowiązkowo w szkołach powszechnych jęz. ruskiego, wychowanych obok sąsiadów a często przyjaciół Rusinów, był to szok niesamowity, gdy dochodziły słuchy o okrutnym mordowaniu wycofujących się przed Niemcami żołnierzy polskich i okolicznych Polaków, mieszkających dalej od miasta, lub w miastecz-  
nych wsiach polsko-rusińskich. Na moich świadectwach ze szkoły powszechnej, jęz. ruski figuruje tuż po jęz. polskim a i w rodzinach naszych bywali Unicy, przecież mieszałyśmy się przez lata całe i porozumiewaliśmy się bez trudu. Oczywiście słyszeliśmy o wojnie ukraińskiej, w naszych domach mówiło się o tych zmaganiach. Nasi ojcowie, uczestniczący w niej, często wspominali swoją młodość wojenną, w walce o utrzymanie tej ziemi dla Polski. Przecież oni sami tu urodzeni, ich ojcowie i dziadkowie, od wieków tu żyjący, na tej Ziemi Lwowskiej, czuli się w swoim do niej prawie. Rok 1939 uświadomił nam, że nawet dość liczni, tak bliscy nam Rusini, są Ukraińcami, że uważają ~~xxx~~ tę ziemię za swą ojczyznę a nas traktują jak intruzów, zaborców i będą zwalczać wszelkimi sposobami, niekiedy wręcz średniowiecznymi. Nie byliśmy na taką sytuację przygotowani.

Oszokowani wypadkami, znaleźliśmy się nagle pod okupacją sowiecką, w niezwykłych warunkach bytowych i kulturowych.

Natychmiast otwarto szkoły, więc wróciłam do swojego gimnazjum, które okazało się dziesięciolatką a ja znalazłam się w kl. VI-ej. Zachowano jednak jęz. wykładowy polski, no i nasi dawni profesorowie byli z nami. Wprawdzie usunięto łacinę i wprowadzono jęz. rosyjski i ukraiński, ale byliśmy w swoim gronie i to było ważne. Przyjmowało się te zmiany jako dopust boży, rzecz chwilową, bo dla nas wojna ciągle jeszcze trwała.

Zimą 1939/40 r. zaczęły się wywózki ludności polskiej do Rosji. Z klasy zniknęła Danusia Koterbicka i Jerzy Haluch, zaś z naszego bloku wywieziono sąsiadów Bochenków. Od tego momentu nikt nie był już pewien jutra. Wkrótce aresztowano w naszej szkole polonistę prof. Schmidta i naszego wychowawcę prof. Paczosę, geografa. Wtedy oczywiście

nie mogliśmy wiedzieć, dziś wiadomo, że zostali straceni w miejscu kaźni w Bykowni pod Kijowem. Na tę wiedzę trzeba było czekać wiele, wiele lat.

Zanudzano nas ciągłymi mityngami propagandowymi, filmami, które obce nam kulturowo wywoływały na sali kinowej tupanie, śmiechy. Wobec ciągłej wrogłej propagandy i pogardy dla naszej Ojczyzny - "pańskiej Polski", rodził się protest, bunt.

Brak żywności, ciągle kolejki za wszystkim, wyczerpywały. Do miasta wkradał się głód. Nad naszymi domami wisiała ciągle groźba wywózek i aresztowań, Rosjan przybywało z każdym dniem.

W tym czasie zniknął z domu ojciec, który zwolniony z pracy, jako element szkodliwy, jak mu oznajmiono /uczestnik wojny ukraińskiej i bolszewickiej/ wyjechał z miasta, lokując się na wsi, za radą żydowskiego przyjaciela. Mama znalazła zatrudnienie w ogrodnictwie a że wywożono personel do majątków poza miasto, nie zawsze była w stanie wrócić na noc do domu. Nagle zostaliśmy właściwie sami, ja 14-to latka i 3 lata młodszy brat Zbigniew. Rodzice robili co mogli w tej sytuacji, ale przecież niewiele zrobić mogli, więc często bywaliśmy głodni a w wolnych od nauki dniach, biegaliśmy do kolejek po chleb, gdzie panował straszliwy tłok, grożący uduszeniem. Bardzo brakowało nam domu, do którego przywykliśmy w dzieciństwie a nasz dom rozpadał się z dnia na dzień.

W takich warunkach doczekaliśmy rozpoczęcia wojny niemiecko-rosyjskiej 21 czerwca 1941 r. Oczywiście sami w domu brat i ja, obudzeni kanonadą, wybiegliśmy z mieszkania na podwórko, nie wiedząc co z sobą począć. Oboje nasi rodzice dotarli do nas w ciągu dnia z ogromnym trudem, bo mamę usiłowano ewakuować razem z resztą pracowników do Rosji.

Rosjanie uciekając z miasta palili szyby naftowe, od których zajmowały się domy mieszkalne, pożoga szalała. Wyszadzili elektrownię, pozbawiając nas prądu i nie tylko nas, ale i okoliczne miejscowości, wysadzili kopalnię wosku i zbiorniki z ropą w nich zgromadzoną. Miało długo stać w ogniu, widok był wręcz makabryczny.

Krótko przed końcem roku szkolnego, NKWD dokonało aresztowania naszych starszych kolegów. Z chwilą wejścia do miasta Niemców, odkryto w piwnicach NKWD bardzo wiele zwłok ludzkich a wśród nich, naszych kolegów szkolnych, tak niedawno aresztowanych. Zwłoki zdradzały ślady potwornych tortur, jakim poddano tych ludzi. Rozpoznano Dankę lekostaj, sznablównę, Jerzego Kozłowskiego i Edwarda Łobazę. Równocześnie z tym strasznym odkryciem, Niemcy uruchomili pogrom Żydów. Człowiek stawał się bestią i wydawało się, że nie ma przed nią ucieczki.

Jesienią 1941 r. wyjechałam z Borysławia do rodziny do Żydaczowa. Tak w domu uradzono, miało to ulżyć mamie w tej trudnej sytuacji żywnościowej, jaka panowała w mieście. Mimo niechęci i protestów ojca, znalazłam się w domu wujostwa Rudzików. W styczniu 1942 r. skończyłam 16 lat i obowiązywał mnie już w/g Niemców nakaz pracy a Żydaczów zapewniał mi ją w jakimś stopniu przynajmniej chwilowo, choć ~~ty~~ tylko fikcyjnie. Było mi tu trudno bez mojego domu, koleżanek, miasta. Żydaczów nie przypominał w niczym tego miasta, które znałam z beztroskich pobytów wakacyjnych przed wojną a dawni znajomi zaszyli się gdzieś, zamknęli w swoich domach. Obcowałam jedynie z książkami i nieliczną rodziną tu mieszkającą. Poczulałam się bardzo osamotniona, ~~xx~~ brakowało mi ludzi bliskich mi wiekiem, brakowało szkoły, ale o niej mogłam zapomnieć na długo, nic nie zapowiadało rychłych zmian w tym stanie rzeczy.

To były pierwsze dni lutego 1942 r. Siedziałam samotnie nad jakąś książką w jedynym ogrzonym pomieszczeniu tego mieszkania, bo reszta ziała straszliwym chłodem ostrej zimy. Brakowało tu opału, o węglu już zapomniano, drewnem dysponowano w ograniczonych ilościach. Do pokoju wszedł wuj Zygmunt Rudzik i jego wieloletni przyjaciel p. Gustaw Cisek, którzy wciągnęli mnie w rozmowę ogólną, na temat toczącej się wojny. Instyktownie zrozumiałam, że jestem sondowana w jakiejś ważnej sprawie, więc gdy padło wreszcie pytanie wprost, czy jestem

gotowa do pomocy w walce z okupantem, moja odpowiedź była twierdząca. Powiedziano mi, że w pracy, którą będę wykonywać wymagana jest niezwykła ostrożność i dyskrecja. Nie wolno zapamiętywać ludzi, adresów i będę w niej zdana na samą siebie a w razie wypadku, nikt nie będzie w stanie mi pomóc, muszę więc być bardzo ostrożna w kontaktach z ludźmi. Przysięgałam na krzyż, powtarzając za p. Ciskiem rotę przysięgi, czego świadkiem był wuj Zygmunt. Miałam pełnić funkcję kurierki dla "Skarbowca", który na zawsze pozostał dla mnie p. Gustkiem, gdyż znałam go dobrze, jeszcze z czasów przedwojennych. Mój pseudonim brzmiał "Nike". O tym, że "Skarbowiec" był wówczas Komendantem Rejonu Żydaczów, dowiedziałam się już po wojnie od niego samego. Dowiedziałam się jeszcze wówczas, że nasza organizacja ma charakter czysto wojskowy, że jest apolityczna a mnie obowiązuje dyscyplina wojskowa i muszę wykonywać wszystkie rozkazy tak, jak żołnierz.

Pisywałam na bibułce drobnym maczkiem, dyktowane przez p. Gustka zaszyfrowane meldunki, które dobrze ukryte w mufce przewoziłam następnie pod zapamiętany adres w Stryju. Ze Stryja wiozłam do Żydaczowa, do domu wujostwa Rudzików rozkazy, prasę konspiracyjną, niekiedy ciężkie walizy wcześniej przez kogoś przygotowane i mogła to być broń, gdyż asystował mi wtedy młody człowiek w kolejowym mundurze ps. "Długi". W tych przypadkach, czekał już na mnie na dworcu kolejowym w Stryju i był przewodnikiem do punktu odbioru przesyłki. Miałam go wtedy w zasięgu wzroku przed sobą, zaś w drodze powrotnej on mnie miał na oku, aż do momentu odjazdu mojego pociągu. Nie pamiętam kiedy i gdzie go poznałam, ani skąd wiem, że był to chłopak z KEDYW-u, nigdy prywatnie nie rozmawialiśmy ze sobą.

Okupacja niemiecka umożliwiła nacjonalistom ukraińskim rozwinąć działania przeciw ludności polskiej, zwłaszcza wiejskiej. Stąd szczególny nacisk położono na organizowanie samoobrony i ~~xx~~ tak też było na naszym terenie. Wprawdzie mnie przydzielono jedynie sprawę kontaktu ze Stryjem, ~~xxx~~ ale ciągle słyszałam rozmowy na ten temat. Raporty, które pisałam, podawały stany o stratach ludności polskiej we wsiach, mordowanej przez miejscowych nacjonalistów. Wiadomości płynęły z terenu, my przekazywaliśmy je do Stryja.

Żyłam w zupełnym odosobnieniu, żadnych kontaktów z miejscowymi. Jedynie dom i merwowe wyjazdy do Stryja a każdy ryzykowny, wymagający skupienia i czujności. Dom wujostwa Rudzików również stanowił zagrożenie, gdyż tu właśnie zwoziłam nieustannie wszystko, co przekazywał Stryj, a mieli przecież kilkuletniego synka, małego Jéreczka. Szczęściem tego domu było chyba to, że wuj Zygmunt Rudzik, od lat zatrudniony jako "nadzorca wodny" nad rzekami Stryj i Dniestr, u ich styku, zawsze prowadził biuro, które stykało się z mieszkaniem prywatnym. Nikogo nie mógł dziwić tu duży ruch, bo ciągle bywali u niego jego podwładni "strażnicy wodni" w różnych sprawach służbowych. Zapewne tylko to chroniło nas wszystkich i ułatwiało działalność konspiracyjną. Jak bardzo przestępcz rzekaliśmy konspiracji, mówi fakt, że nigdy nie znałam jego pseudonimu, ani funkcji pełnionej. Mniemam, że zajmował się wywiadem, gdyż miał ku temu warunki.

W styczniu 1945 r. aresztowano całe żydaczowskie AK, ludzi wywieziono do Szacht, lecz Z. Rudzik nie zdradził przynależności do AK, mimo przesłuchań, brak więc jakiegokolwiek śladu jego pracy w AK, choć ja wiem najlepiej czym był jego dom dla konspiracji. Po roku ciężkiej pracy w kopalni, wrócił schorowany do kraju, pracował przy odwadnianiu Żuław, zmarł w swoim mieście rodzinnym Banoku.

Kursowałam więc nieustannie do Stryja przez cały rok 42, aż do wiosny 1943 r. w ciągłym napięciu uwagi, w każdą pogodę i zawsze w gotowości do wyjazdu, co powodowało pewne napięcie nerwowe. Właśnie w tym czasie, doniosła mi dawna, wakacyjna koleżanka Ukrainka Sławka Najda, że powinnam opuścić miasto, gdyż jako obcą



osobę, nie tutejszą, umieszczono mnie na liście wyznaczonych na przymusowe roboty do Niemiec. Uprzedza mnie w imię dawnej przyjaźni, bo zapewne nie mam ochoty tam się znaleźć. Był to ładny gest z jej strony, zupełnie zaskakujący, ponieważ nasze kontakty były zerwane. Zrobiła to o zmroku i widać było, że zależy jej na tym, aby nie być widzianą.

Zaszła więc konieczność wyjazdu z Żydaczowa. Od wiosny 43 zamieszkałam w Chodorowie, oddalonym od Żydaczowa o 30 km. Moją szef "Skarbowiec" pracował od wielu lat w Urzędzie Skarbowym, który Niemcy przenieśli z Żydaczowa do Chodorowa. To on umieścił mnie w Wydziale Wymiarów Podatkowych w tym urzędzie, bardzo korzystnie, bo z możliwością nie siedzenia za biurkiem a z możliwością przemieszczania się w godzinach pracy. Naczelnikiem Urzędu był Polak mgr. Błaszczyszyn, obsadę również stanowili Polacy. Mając autentyczne dokumenty, śmiało ruszałam w trasę a na węgł mogłam już odwiedzać rodzinę w Borysławiu. Ojciec przestał nalegać na powrót do domu, gdy zorientował się, że jestem w Organizacji, nie wiem jak się tego domyślił, bo nie rozmawialiśmy o tym co robię, ale on wiedział, czułam to i aprobowałam.

W moich czynnościach konspiracyjnych nic się nie zmieniło, wciąż jeździłam do Stryja na polecenia "Skarbowca".

Moje życie się unormowało. Po okresie żydaczowskiego odosobnienia, znów znalazłam się wśród ludzi młodych i życzliwych, choć musiałam zachowywać ostrożność, zawsze o tym pamiętałam. Mieszkałam w małym, ale ciepłym mieszkanku / gaz /, należącym do miejscowego kolejarza, zaś obiady dostawałam u sióstr zakonnych w Caritasie. Do nędznych przydziałów kartkowych dorabiałam wykonywaniem swetrów na drutach dla mojej gospodyni. Lato minęło szybko, jesienią i zimą zawsze bywało trudniej i ze względu na szybkie zapadanie ciemności i temperatury w zimnych pociągach a odległość do Stryja wynosiła już 60 km. Najczęściej musiałam teraz nocować w Stryju, z braku korzystnego połączenia kolejowego. Marzłam okrutnie a zanim zdołałam odtajać pod ogromną pierzyną na kwaterze stryjskiej, należało zrywać się i biec do pociągu. Musiałam się też szczególnie pilnować, gdyż nie wiem czym, zwróciłam na siebie uwagę miejscowego komendanta Policji Ukraińskiej, który usiłował nawiązać ze mną znajomość. Zimą 43 r. znaleziono go zastrzelonego, podobno dawał się we znaki miejscowej ludności, więc ta sprawa sama się rozwiązała a ja przestałam się bać. Do dziś nie wiem jak to właściwie było załatwiane, ale ja nigdy nie zwalniałam się z pracy, ani nie wyjaśniałam swoich nieobecności. Myślę, że cały ten nasz Urząd musiał być w konspiracji z naczelnikiem włącznie.

W pamięci utkwiły mi dwa wstrząsające fakty, związane z moim tu pobytem. Jakoś pod koniec zimy 1944 r. obserwowaliśmy z okna Urzędu dziwny pochód. Główną ulicą miasta, prowadzącą od dworca kolejowego, pędzono pod obstawą wojska korowód ludzi z dziećmi włącznie w stronę rynku. Ze zgrozą i w milczeniu bezsilnym wiedząc, że mogą iść tylko na śmierć, nie byliśmy w stanie wydobyć z siebie głosu. Nagle, jedyna wśród nas miejscowa Niemka zaczęła krzyczeć, że to barbarzyństwo, że gdyby firer wiedział o takich zbrodniach, ukarałby winnych i rozpłakała się. Nikt nie odezwał się a za chwilę usłyszeliśmy strzały z karabinu maszynowego. Kiedy po pracy dochodziłam do rynku, zobaczyłam tłum ludzi i trzy szubienice, na których powieszono bosych mężczyzn. Wokoło kręcili się zabójcy w niemieckich mundurach. Lu dzie tu stojący, ukradkiem ocierali łzy. Nie mogłam patrzeć, rezygnując z obiadu, zawróciłam. A oto drugi obraz z Chodorowa. Też wczesna jeszcze, zimna wiosna 1944 r. Przechodząc obok kościoła, na placu otoczonym murem, widzę wiele chłopskich furmanek z kobietami, dziećmi i starcami. Na wozach okutane dzieci i resztki skromnego dobytku. To uciekinierzy z okolicznych wsi, bezbroni, słabi ludzie, którzy uszli z życiem tylko, pozostawiając dorobek bałego życia okrutnym, chciwym sąsiadom. Ci bezdomni nieszczęśnicy oczekują pomocy, serce boli.

W Borysławiu też żałoba, właściwie straciłam dwu ciotecznych braci. Tadeusz Mokrzycki, wracający z ekipą robotników naftowych z pracy do domu, porąbany siekierami i już pochowany, zaś jego rodzoły brat Witold na Majdanku, aresztowany za pomoc Żydom. Jakże ciężka ta wiosna.

Gdy zlikwidowano już Urząd skarbowy w Chodorowie, wróciłam do rodziny, do Żydaczowa. wysłano mnie wtedy na kurs sanitarny, który odbywał się w pobliskiej Kochawinie, pod kierunkiem miejscowego lekarza. Razem ze mną szkoliły się też dziewczęta ze wsi samoobronnych naszego Rejonu. Opowiadały mi z dumą jak dobrze przygotowane są ich miejscowości do obrony przed UPA. Po przeszkoleniu miałyśmy być wcielone do leśnych oddziałów i nie pamiętam ile nas było, ale zdaje się że trzy, albo cztery dziewczyny w moim mniej więcej wieku. W miejscowej szwalni, pracującej dla leśnych, uszyto nam mundurki, składające się ze spódnicy-spodni, bluzki z szarego, spadochronowego jedwabiu i szare, sukienne żakiety, dość ciepłe.

Przerwy w zajęciach spędzałam w domu i kiedyś spotkałam przypadkowo Sławkę Najdę., która zapraszała mnie do siebie /była już mężatką/. Zameldowałam o tym i panowie /wuj i p. Gustek/ polecieli mi skorzystać z zaproszenia. Przyjęto mnie nadzwyczaj serdecznie, tak jak to bywało w wakacje przedwojenne, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Sławka nie ukrywała, że jej mąż jest tu szefem i dysponuje oddziałem partyzanckim, ale ich ugrupowanie jest przeciwne mordowaniu Polaków, których uważają również za obywateli tej ziemi. Nie ukrywała lęku przed nadchodzącymi Rosjanami. Zegnałyśmy się serdecznie i już na zawsze, bo i ona i ja musiałyśmy opuścić tę sporną ziemię, którą obie kochałyśmy. Panowie wysłuchawszy mojej relacji z tego spotkania uznali zgodnie, że tworzenie punktów samoobronnych było celowe, gdyż tylko w ten sposób można zmienić nastawienie Ukraińców do nas.

W Żydaczowie oczekiwałam na przydział do oddziału i tak się złożyło, że właśnie w tym czasie, przechodzący koło Żydaczowa oddział leśny zapadł w zaroślach nad rzeką Stryj, koło wsi Zalesie. Nakazano mojej ciotce ps. "Zocha" - Eufrozyna Rudzikowa i mnie dowieźć im nad rzekę żywność. Uczyniłyśmy to w asyście "Długiego" /musiał towarzyszyć oddziałowi, bo ja stykałam się z nim w Stryju/ który powoził furką, na której był przygotowany prowiant dla partyzantów. Był z nami synek ciotki Jerzy, zabrałyśmy ze sobą piłkę, aby upozorować małą wycieczkę, bo dzień był piękny. Tego samego dnia popołudniem zjawił się w naszym mieszkaniu mężczyzna, który przedstawił się jako Inspektor "Juhas" i polecił ciotce i mnie wyjechać z miasta natychmiast, ze względu na możliwą dekonspirację, co byłoby zgubne dla miejscowej organizacji. Ciotka z dzieckiem wyjechała do Stryja, ja znalazłam się w Kochawinie, skąd dnia następnego "Juhas" zabrał mnie do Stryja. Przez drogę zaznajamiał mnie z życiem w partyzantce, ale w taki sposób to robił, jakby miał zamiar zniechęcić mnie do tej służby. Gdy weszliśmy do jakiegoś lokalu, siedziało już tam dwoje ludzi. Wysoki, przystojny pan w średnim wieku, którego "Juhas" przedstawił ps. "Baca" i dziewczyna, małego wzrostu, drobnej budowy ciała ps. "Grażyna". Chwilę rozmawiali, ale moją uwagę zwróciło to, że "Grażyna" zwracała się do "Juhasa" imieniem Andrzej, a on przekazywał jej wzrokiem i nieznacznym gestem, aby nie używała tego imienia. Pochwycałam to kątem oka i pomyślałam, że on nie życzy sobie, abym znała to imię, czy też może pseudo, ale "Grażyna" nie zrozumiała jego gestów.

Nie jestem przygotowana na to co dzieje się po chwili. "Juhas" bardzo oficjalnie, służbowo zwalnia mnie z przysięgi, zabrania powrotu do Żydaczowa, dziękuje za dotychczasową służbę, którą jak powiedział chlubnie pełniłam. Jestem oszołomiona, rozczarowana i zawiedziona, gdy potrzęsa moją dłońią awansując do kaprała podchorążego i odznacza jakimś medalem, nie pamiętam jakim, ale to ma nastąpić już po zwycięstwie. Oddziały leśne nasycone są sanitariuszkami i nie ma dla mnie przydziału.

Gdy już siedzimy po tej "gali" przy tym dużym stole konferencyjnym, pokrytym zielonym sukniem ja z zamętem w głowie, docierają do mnie słowa "Juhasa", że chociaż właściwie jestem już wolna, to jed

nak może w związku z tym, że wracam do domu, do Borysławia, zechciałabym podjąć się znanych mi przecież obowiązków na tamtym terenie. Obecny tu "Baca", w ramach reorganizacji, obejmuje właśnie teren drohobycki i potrzebny mu ktoś bardzo zaufany, no i o mnie pomyślano. Oczywiście mogę odmówić, bo jestem już wolna, ale kurierka jest bardzo pilnie potrzebna. Propozycję przyjmuję, więc jest tylko za leczenie zmiany pseudo, które zmieniam na imię "Lucia".

Nasza trójka przybyła do Drohobycza końcem czerwca 1944 zaraz po pamiętnym zbombardowaniu rafinerii Polmin, dywanowym nalotem aliantów. Towarzyszyłam "Bacy" w spotkaniach z ważnymi osobami w Drohobyczu, Samborze i Borysławiu i miałam być jedynym łącznikiem między nimi i "Bacą". Nie wiem kim byli ci panowie, ale zapamiętałam borysławskie spotkanie, gdyż odbyło się u jednej z naszych sąsiadek, w bloku Moraczewskiego, w którym mieszkali moi rodzice. Ow pan był kierownikiem kopalń i był to p. Zborowski. Na jednej z podlegających mu kopalń zostałam zatrudniona, właściwie fikcyjnie jako kancelistka, gdyż przy moich zajęciach nie mogło być mowy o normalnej pracy, ale zaświadczenie o niej było potrzebne. Nie pamiętam jej nazwy, ale mieściła się gdzieś na Horodyszczu, bo czasem tam wpadałam. Obsługiwałam kuriersko Borysław i Drohobycz, jak i Sambor, ale głównym kierunkiem był ciągle Stryj, skąd płynęły dla nas dyrektywy.

To był już bardzo krótki okres do wejścia Rosjan, ale jakże wyczerpujący, bo odległości między moimi miastami pokonywać musiałam rowerem, gdyż cywilnej komunikacji kolejowej już nie było. Z Borysławia do Drohobycza biegałam pieszo, na skróty i nie zawsze nocowałam w domu, u rodziców. Właściwie rodzina nie miała ze mnie pożytku, do domu jedynie wpadałam na krótko. Tu sytuacja była bardzo trudna. Z mieszkania poznikało wiele rzeczy i ciągle brakowało jedzenia. Podpatrzyła to Komendantka WSK p. "Agnieszka" i musiała zameldować o tym "Bacy", bo przy najbliższym spotkaniu "Baca" bardzo się na mnie gniewał, że nie powiedziałam mu o tym i polecił pobrać z magazynów AK żywność. Było mi wstyd, ale jednocześnie cieszyłam się, że chociaż tyle ma ze mnie rodzina.

Jak już wspomniałam pokonywanie tras rowerem pomiędzy Drohobyczem, Samborem i Stryjem było nie tylko wyczerpujące, ale i ryzykowne, zwłaszcza przez nieprzyjazne wsie ukraińskie i tego bałam się najbardziej. A oto co zapamiętałam z ostatniego powrotu pociągiem ze Stryja do Drohobycza. Jest jasny, słoneczny dzień, radzieckie kukuruźniki krążą nad miastem zrzucając bomby, ja muszę jakoś wrócić do Drohobycza z pismami dla "Bacy", Dworzec kolejowy zbombardowany, ostrzeliwany przez latające nad nim samoloty. Wszędzie pełno gruzu, ale wśród tego za mieszania dostrzegam na odległym torowisku pociąg zapełniony wojskiem. Docieram przez rumowiska do składu pociągu i pytam żołnierza siedzącego na lorze czy to pociąg do Drohobycza. Odpowiada twierdząco, więc wyciągam ręce a on wciąga mnie na lorę, ale zmusza do skulenia się i mówi znacząco "oficir". Nie mogę z nim rozmawiać, gdyż nie znam niemieckiego, ale to żołnierz frontowy, porozumiewamy się gestami, zbieraniną słów rosyjskich i pospolitych niemieckich. Domyślam się, że nie może zobaczyć mnie oficir i stosuję się do tej wskazówki. Mój rozmówca jest podoficerem, starszym już człowiekiem, jest tu jeszcze obsługa karabinu maszynowego, ostrzeliwująca ciągle nadlatujące samoloty, ale zdenerwowana zbyt długim postojem na stacji. Zdenerwowanie udziela się i mnie, ale wreszcie pociąg rusza. Żołnierze otwierają konserwy, kroją chleb, częstują mnie, są bardzo uprzejmi. Wreszcie Drohobycz. Pomagają w wydostaniu się z lory, jestem im bardzo wdzięczna, dziękuję, zaś "Baca" bardzo zadowolony z mego powrotu. I jeszcze jedno wspomnienie zapamiętane, bo ważne. Oddziały leśne samborskie, przystąpiły do walki z Niemcami o Sambor i "Baca" musi tam być, tyle wiem. Siedzę więc na koźle drabiniastego wozu obok "Bacy", przed nami para rosłych koni Niemcy obsadzili most nad Dniestrem i minują go właśnie, ale o dziwo przepuszczają nas, uprzedzając jednak, że w każdej chwili

może być wysadzony, musimy więc się spieszyć, jeżeli chcemy wrócić. Pędzimy przez miasto zasypane szkłem i gruzem, jakby wymarłe, ost-  
rzeliwane artylerią. Wchodzimy do jakiegoś opuszczonego domu i na-  
tychmiast zjawiają się ludzie uzbrojeni z opaskami biało-czerwony-  
mi na ramieniu. "Baca" poleca mi tu czekać na siebie i odchodzi z  
tymi ludźmi. W domu ani żywego ducha, okna szeroko otwarte, brzęczą  
od wybuchów. Strzelanina wzmaga się. Czuję się nieswojo w tym ob-  
cym domu i nie pozostaje mi nic innego, jak wyciągnąć się na tym  
wygodnym tapczanie, tak bezpiecznie ustawionym w kącie pokoju.  
Przez otwarte okno wskakuje do pokoju wystraszony kot i tuli się  
do mnie. Oboje, nie wiadomo kiedy wpadamy w zbawczy sen. Dopiero  
głośny śmiech mężczyzn przywołuje mnie do rzeczywistości. Nie wiem  
co ich tak rozbawiło, więc czuję się niepewnie. "Baca" popędza ko-  
nie, lecz za mostem zatrzymują nas Niemcy i za chwilę wóz pełen ra-  
nnych żołnierzy, załadowano też ciężko rannego, chłopca prawie, któ-  
ry straszliwie jęczy, jest ranny w brzuch. Bardzo mi go żal i przy-  
pominam sobie "Juhasa" - skąd on wiedział, że nie nadają się na  
sanitariuszkę? Rannych ludzi zostawiliśmy parę km. dalej, w przy-  
frontowym lazarecie, do Drohobycza przyjechaliśmy jeszcze przed  
zmrokiem.

Czas był niezwykle nerwowy, przygotowywano się do zetknię-  
cia z Rosjanami a przecież pamiętano ich tu z poprzedniej ich  
bytności. Łudzono się jednak, że teraz będzie inaczej, byliśmy prze-  
cież sojusznikami i walczono już wspólnie.

Ze Stryja przywożę rozkazy wystąpienia przed sowietami i  
mamy ich już w mieście. Trochę strzelaniny i wychodzimy z "Graży-  
ną" do miasta. Zobaczyłyśmy te pierwsze oddziały, świetnie uzbro-  
jone, porządnie umundurowane, to nie było wojsko, które znałyśmy.

Wkrótce, pewnego dnia rankiem, odebrałam rozkaz "Bacy" prze-  
kazany mi przez "Grażynę", że mam jechać do Stryja z meldunkiem, że  
"Baca" wychodzi na rozmowy z wojennym Komendantem Miasta. Nie mia-  
łam pojęcia, że z takim pośpiechem będę pedałowac z powrotem, z roz-  
kazem wstrzymania się od tych kontaktów. Niestety, było już za póź-  
no, "Baca" był u nich. W wielkim niepokoju czekałyśmy z "Grażyną"  
do wieczora, potem całą noc i miałyśmy wręcz pewność, że "Bacę" za-  
trzymano. Koło południa wyszłyśmy z kwatery, z postanowieniem za-  
sięgnięcia języka w Komendzie Miasta o jego losie. Dla uzasadnien-  
ia naszej ciekawości podając się ona za żonę, ja, jego siostrę.  
Nasza kwatera mieściła się w domu, leżącym na skraju miasta i dro-  
ga prowadząca doń była polna, znaczone dwiema koleinami wśród łąki  
i gdy już prawie dochodziłyśmy do drogi miejskiej, skręcił z niej  
w naszą stronę kryty łazik wojskowy, zatrzymując się obok nas.  
Z auta wysiadł "Baca" a za nim oficer radziecki i podchodzili do  
nas. "Baca" przedstawił mu "Grażynę" i mnie, jako swoje współpracow-  
nice, ów oficer wyciągnął do powitania dłonie i przedstawił się jako  
"pałkownik-generał", tak dwuczłonowo, ale w pamięci pozostał mi ja-  
ko gen. Iwanow, bo takie nazwisko wymienił. Był uśmiechnięty i uprze-  
jmy a przytrzymując dłużej moją dłoń, w swojej, wypowiedział te pa-  
miętne słowa: "tak my tiepier sajuzniki". Jeszcze kilka uprzejmych  
zdań i pożegnanie, odjechał.

"Baca" pochwalił nas za opuszczenie kwatery, był zadowolony,  
że to spotkanie odbyło się na terenie neutralnym. Dopiero teraz  
okazał swoje zdenerwowanie. Opowiadał przebieg pobytu w ich kwate-  
rze, gdzie panowała ogromna radość z łatwego zdobycia Drohobycza.  
Nie dopuszczano do poważnych, wiążących rozmów, wielkim picie-  
m świętowano zdobycie miasta, zmuszając grupę Polaków do spełniania toa-  
sów. Powiedziałam mu o rozkazie, który przywiozłam ze Stryja i o  
tym, że stryjskie oddziały leśne zostały internowane. Był załamany.  
W pewnej chwili zobaczyłyśmy na jego dłoni maleńką fiolkę. Patrzył  
na nią i mówił, że nie może dostać się w ich ręce żywy a gdy my za-  
żądałyśmy dla siebie tego samego, odpowiedział, że nasza wiedza kon-  
spiracyjna jest tak nikła, że nikomu nie przyniesie szkody a my je-  
steśmy zbyt młode i życie przed nami.

widzieliśmy jeszcze naszych chłopców leśnych rozbrojonych, pędzonych pod konwojem sowieckim, do Brygitek drohobyckich. Niektórzy z nich podnosili ręce i wołali do nas, stojących pod płotem, na chodniku. Widocznie niektórzy z nich rozpoznawali, być może "Bacę", lub jedną z nas.

Pod koniec sierpnia wróciłam do domu do Borysławia, z poleceniem bycia w pogotowiu, na wezwanie. Jeszcze czas jakiś wykonywałam ostatnie polecenie "Bacy", polegające na wyprowadzaniu "chłopców" - internowanych w Brygidkach drohobyckich. Odbywało się to zwyczajnie, bo do mnie należało jedynie zjawić się o określonym czasie i miejscu, w okolicy Brygidek i natychmiast pojawiała się grupa, która szła za mną w milczeniu, prowadzona polami do Borysławia a w jakimś miejscu na trasie czekała już na nich inna osoba, która przejmowała grupę i nie wiem, gdzie prowadziła. Wiem natomiast, że zatrudniano ich w przemyśle, chroniąc w ten sposób od przesłuchań a może i wywózki.

Chwilowo byłam pozbawiona obowiązków, nawet z Komendantką WSK p. "Agnieszka" - nauczycielka, p. Frankiewiczówna, nie kontaktowałam się już. Nie mogłam jednak niczego planować dla siebie samej, gdyż musiałam być gotowa na wezwanie. Jesienią 1944 r. zaczęła przybywać ze Lwowa kurierka od "Bacy" - rudowłosa "Grażyna", aż wreszcie późną jesienią przywiozła mi rozkaz wyjazdu do Sambora. Stąd jeździłam do Lwowa przygodnymi autami wojskowymi. Trudne to były jazdy, z pijakami najczęściej szoferami, po drodze bardzo zniszczonej działaniami wojennymi, pełnej lejów, objazdów przez rzeczki i oczekiwaniem godzinami, w śniegu na odpowiednią okazję. Kiedyś, gdy na wezwanie patrolu nasz szofer usiłował uciec, patrol oddał strzały w naszym kierunku i jeden z pasażerów został postrzelony. Do Lwowa doszliśmy pieszo już późnym wieczorem, gdyż w najbliższej miejscowości wyrzucono nas z platformy auta a rannym zajęła się wojskowa służba medyczna.

Rzecz jasna nie pamiętam czy był to grudzień, czy też może już styczeń 1945 r. gdy zatrzymano mnie we Lwowie. Krótko przebywałam na kwaterze u starszej pani, gdzie nocowałam zwykle w czasie moich poprzednich pobytów we Lwowie. Swoim zwyczajem nie zapamiętywałam nazw ulic, więc i tej nie pamiętam, ale była to krótka uliczka, zakończona bodaj kościołem i mieściła się na lewo, idąc w górę ul. Łyczakowskiej i nosiła chyba imię jakiegoś świętego. We wdzięcznej pamięci pozostała jedynie ta stateczna pani, bardzo milcząca, świeżo ugotowane przez nią kartofle, zalane pachnącym sosem cebulowym, mały pokój z gościnnym tapczanem i ten ciepłutki wełniany koc. Wkrótce wynajęto mi pokój u starszego małżeństwa, przy ul. Łąckiej. Był bezosobowy, ciemny i bardzo zimny. Nie miałam obuwia i strasznie marzłam, w moich pończuchach a był styczeń, bardzo śnieżny. Brodziłam przez zaśnieżone ulice w tych moich butach, stopy miałam mokre i skostniałe. "Baca" wyrwał z notesu kartkę i coś nagle zymolił i podając mi ją polecił natychmiast zgłosić się pod ustnie podany adres. Był zagniewany i powiedział, że to żadna jałmużna, że należy się nam od nich bodaj głupi but.

"Baca" jako zwierzchnik był nieco szorstki w obejściu i bardzo wymagający, ale niezwykle troskliwy o swych podwładnych, w stosunku do mnie niemal ojcowski. Wspominam go z wielkim sentymentem i bardzo żałuję, że nie danym mi było spotkać go w innym czasie. Po dziesiątkach lat mozolnych poszukiwań - nikt nie znał tego pseudonimu, doszłam kim był a dopomógł mi w tym prof. Węgierski. Więc kiedy przechodziłam pod jego rozkaz w czerwcu 1944 r. w Stryju, nastąpiła reorganizacja w Okręgu Stanisławów. Dotychczasowy Komendant Inspektoratu Drohobycz ppłk. Władysław Mróz, obejmował właśnie stanowisko Zastępcy Komendanta Okręgu Stanisławów, przyjmując pseudo "Baca". Jego dotychczasowa łączniczka "Marysia", gdy się z nią zetknęłam, nosiła ps. "Grażyna-Bożena", jej nazwisko Julia Korpakówna. w związku z tymi zmianami, poszukiwali nowej osoby, takiej, która nikomu na terenie Drohobycza nie była znana. Stąd moja osoba.

Byłam wówczas jakby pod opieką rudowłosej "Grażyny", która powoli wprowadzała mnie w środowisko lwowskie, ale nie wiedziałam ciągle czego się po mnie oczekuje. Jedynym moim zajęciem, były wizyty w lokalu przy ul. Jabłonowskich 4 u p. "Eleonory" Kom. WSK Stanisławów, Janina Tarnawska, czego wtedy rzecz jasna nie wiedziałam, oraz kontakty z "Bacą".

Na polecenie "Bacy" wyrobiłam sobie paszport rosyjski w Urzędzie miasta, ale nie miałam pracy, żyłam więc niczym ptak boży, na okrucach z przygodnego stołu. Nie miałam pieniędzy, ani domu, bywało jak zwykle głodno. Ta niejasna sytuacja bardzo mi ciążyła. Kontakt stały po między p. "Eleonorą" i "Bacą", wydawał się bardzo ważny. Pani ta była osobą ciepłą, serdeczną, ale nic bliższego o niej nie wiedziałam. Polecono mi jeszcze spotkać się z "Andrzejem", na znanej mi kwaterze u starszej pani i ku mojemu zdumieniu, spotkałam "Juhasa". Musiał więc to być Insp. Stryja kpt. Pacak-Kuźmirski ps. "Andrzej". Spotkanie to niczego mi nie wyjaśniło i tak mijały dni.

Na krótko przed moją wpadką, byłam przez "Bacę" zaproszona do "Grażyny" z Drohobycza /Julia Korpakówna/. Siedziała za biurkiem, obłożona książkami. Zwierzała się, że ojciec polecił jej odejść z organizacji i zająć się nauką. Poczęstowano mnie herbatą i kanapkami, ale jej matka wydała mi się zbyt młoda, jak na jej matkę a "Bacą" usiłował przemknąć się na palcach, przez przedpokój. Nagle, jakby niechcący, podała swoje nazwisko - Borowiczka i zawód ojca - nauczyciel geografii w którymś z gimnazjów lwowskich. To było zaprzeczeniem tego, co wbijano mi do głowy w związku z konspiracją. Byłam zupełnie zagubiona, nie pojmowałam sytuacji, poczułam się dziwnie samotna.

Nie umiem powiedzieć czy po tej wizycie u "Grażyny-Bożeny" spotykałam się jeszcze z "Bacą". W każdym razie bardzo szybko znalazłam się w więzieniu.

Jest 14 luty 1945 r., gdy natrafiam na "kocioł" u p. "Eleonory" na Jabłonowskich 4. W tym dużym pokoju, przy stole, umieszczonym w obszernej wnęce, siedzą zatrzymani, obcy mi mężczyźni i tylko jedna kobieta, którą spotykałam tu przelotnie, lecz nic o niej nie wiem.

Siedzimy w ciszy, każdy ze swoimi myślami i od czasu do czasu tylko dzwonek do drzwi i nie wiemy, czy to zmieniają się strażę, czy wpadł ktoś nowy, bo przy naszym stole nie ma już miejsca, jest ściśle obsadzony. O jakiejś szarej godzinie dnia a wcześniejszym sprawdzeniu czy nie uda się stąd uciec przez toaletę, nagle, spod pościeli zasłanego łóżka, stojącego pod przeciwległą ścianą, wysuwa się powoli i bezwładnie opada drobna, kobieca ręka. Poruszenie, szepty w pokoju, widocznie nie tylko ja to spostrzegłam, bo już krzyki o ciszę naszych dozorców i jeden z nich podbiega do łóżka i ukrywa ją biedną pod pościelą. I szept mej towarzyszki: p. Janina otruła się a w sąsiednim łóżku leży martwy mężczyzna.

Wywożą nas z tego tragicznego mieszkania już nocą. Na obszer- nym placu przed kamienicą dużo wojska i krytych aut transportowych. Sadowią nas luźno, pod silną obstawą uzbrojonych żołdatów i wkrótce wpuszczają do dużej sali, o drewnianej podłodze, gdzie szeregiem ułożone śpią kobiety i jest ich dużo, ale żadna nie podnosi się i nie interesuje nowymi, muszą być jak i my bardzo znużone. Kładziemy się obok leżących już i koleżanka szeptem mi do ucha, że p. Janina otruła się i zrobił to też mężczyzna, którego zastało u niej NKWD. Jestem potwornie wyczerpana długim, makabrycznym dniem i chyba głodem, bo nawet to, że jak powiedziała jesteśmy w więzieniu łąckim, nie zrobiło na mnie wrażenia, momentalnie usnęłam. I nagle zapala się światło i wywołują mnie. Ciemny pokój, ostre światło na mnie skierowane, personalia, wymyślanie od bandytów i pytanie kto mi dał paszport. Moich słów śledczy nie słucha, tylko wrzeszczy, że jest on fałszywy i domaga się, abym powiedziała skąd go mam. Krzyki i razy, jestem mało przytomna z wyczerpania i bólu, utrzymuję, że handlowałam wełną z lokatorką tego mieszkania i nic nie wiem. Wreszcie znów na znanej sali, moja towarzyszka serdeczna i współczująca, ale za moment wywołują ją. Nie pamiętam nazwiska, zapadam znów w zbawczy niebyt i nie wiem, kiedy ona wróciła, ale jest na sali. Kobiety nieufne, oszczędne w słowach, obce sobie.

I nagle izolotka, gołe sprężyny zdezelowanego łóżka, i światło u sufitu nie gaszone nocą, rażące oczy. Z krótkiego pobytu z więzie-

nia łąckiego, zapamiętałam ową piwniczną izolatkę, skąd nocą zabierano mnie na górę i z ciemnego pokoju przesłuchań, kazało rozpoznawać osoby, siedzące w sąsiednim, oświetlonym pokoju, właśnie przesłuchiwane. Wracałam prawie szczęśliwa, gdyż nie było tu nikogo z osób znajomych mi. Jeszcze jedno, spokojne już przesłuchanie i strażnik, prowadzący mnie po korytarzach i schodach, dotąd zawsze milczący mówi, że idziemy do "samowo głównowo naczalnika". Wypowiada te słowa z wielkim respektem, patrzy na mnie z podziwem, widocznie nie tak często się to zdarza.

Jasny gabinet, za biurkiem uśmiechnięty, znajomy "sojuznik" z drohobyckiego spotkania - gen. Iwanow. Uświadamiam sobie, że nie mam już odwrotu i lęk gdzieś się ulotnił, bo sytuacja jest jasna, wita mnie jak znajomą. Jemu chodzi tylko o "Bacę" i "Agnieszkę", wymaga, abym podała mu tylko miejsce pobytu "Bacy", że muszę to wiedzieć, bo jako jego kochanka, muszę to wiedzieć, jest tego pewny. Nie zastanawiając się nad słowami, obrażona dotkliwie, odpowiadam, że "Baca" w tej chwili, kiedy wie, gdzie ja się znajduję, może być wszędzie a ja jego kochanką nigdy nie byłam, najwidoczniej u nich panują takie obyczaje, nie u nas. Jest wściekły, czerwienieje, podrywa się i bije w twarz tak umiejętnie, że głuchnę i od tego momentu nie słyszę wymyślań tylko ból, bo wali mnie kantem linijki, gdzie popadnie, aż zmęczony, wrzuca mnie w ciemność. Kiedy przychodzę do siebie, ale wciąż jeszcze źle słyszę, stwierdzam, że jest to bardzo ciasne pomieszczenie, ale przez szparę drzwi, wpada trochę światła. Tkwiąc na stercie tekturowych opakowań, powiększam szparę drzwi, odsuwam te opakowania i robię miejsce dla stóp, podnoszę się i odsłaniam sedes. Jestem w małej nie używanej ubikacji, zarzuconej opakowaniami po "swiniaczoj tuszonkie". Siadam na klapie sedesu, zaglądam do pokoju Iwanowa, jest pusty. Czuję się tak upokorzona i sponiewierana, że mam ochotę skończyć z sobą i gdyby nie to zakratowane gęstą, metalową siatką okno gabinetu... Długo tu siedzę, aż przychodzi po mnie strażnik i prowadzi do innej celi, gdzie przebywają jakieś kobiety. Nie jestem już sama, śpiemy na betonowej podłodze, ale jest dużo raźniej, niż w samotności.

Wkrótce jestem znów w jego gabinecie i on, jakby nic się nie stało, zaprasza mnie do śniadania, które właśnie spożywa. Dziękuję mówiąc, że jestem już po śniadaniu, czym wprowadzam go w wymieniony nastrój. Śmieje się serdecznie mówiąc iż doskonale wie czym nas tu karmią. Oświadcza, że nie jestem mu już potrzebna, bo i bez mojej pomocy ma zarówno "Bacę", jak i "Agnieszkę". Fascynują mnie te dwie kostki wspaniałego chleba, biały i czarny a otworzona konserwa swiniaczoj tuszonki pachnie zachęcająco. Wstaje, podaje mi tę białą kostkę chleba i ja ją przyjmuję. Odprowadza mnie do drzwi, otwiera je, wyprowadza na korytarz, gdzie siedzi na szafce jakiś mężczyzna w cywilu, który popatrzawszy na mnie, wykonuje przeczący ruch głową. Kobiety w mojej celi chwytają chleb, dzielą moją zdobycz nie pytając nawet skąd to mam. W naszej celi spokojnie, nie ma przesłuchań, jest nawet jeden spacer na małym podwórku, chodzimy w kółko.

Któregoś dnia pojawia się w celi strażniczka a nie jak zwykle strażnik i wskazując mi palcem poleca wynieść kubek do mycia, który jeszcze pusty, niedawno był myty. W zupełnie pustym sanitariacie, natykam się na znajomą z Jabłonowskich, z którą dawno mnie rozdzielono, która dając znak milczenia mówi mi, że wszystko jest w porządku i na dobrej drodze i że mam być dobrej myśli. Nie ma czasu prosić o wyjaśnienia, bo strażniczka stojąca za drzwiami klnie siarczyście po rosyjsku, nagląc do wyjścia. Nie było czasu nawet na podanie sobie ręki. To niezwykle spotkanie wstrząsnęło mną

właściwie nie wiedziałam jak mam je rozumieć, ale dawało jakąś nieokreśloną nadzieję, lecz nie wiadomo właściwie na co.

Razem z jakimś dniem wywołują mnie z celi, wyprowadzają na podwórko, gdzie stoi auto ciężarowe. Niespodziewanie ktoś zarzuca na mnie szorstki koc, krępując mnie jak kukłę, sadzają na odkrytej platformie i auto natychmiast rusza. Wszystko odbyło się w zupełnym milczeniu. Jestem przerażona, skrępowana, głowa owinięta kocem, nic nie widzę. Zanim udało mi się rozluźnić nieco krępujący mnie koc i odsłonić twarz, jesteśmy już za miastem i nie wiem dokąd mnie wiozą. Dopiero, gdy wjeżdżamy do miasta, rozpoznaję, że to Bstryj. Za chwilę jesteśmy na podwórku więziennym i oficer mnie eskortujący, pozwala zejść z platformy. Usiłuję rozruszać zdrętwiałe nogi, głowę mam odkrytą, ale tylko przez chwilę, bo gdy człowiek w ubraniu cywilnym, ale karabinem i opaską milicji na ramieniu podniósł w górę rękę, oficer natychmiast zarzucił mi koc na głowę. Nie wiadomo po co mnie tu przywieziono, bo zaraz ruszyliśmy dalej. Rozpoznaję, że jedziemy do Drohobycza, to dobrze znana mi, moja trasa. Zastanawiam się co miała oznaczać ta podniesiona ręka milicjanta, był to znak, ale dla kogo właściwie?

Nie mam pojęcia jaki to miesiąc a zwłaszcza dzień, zagubiłam się w czasie już dawno, ale wokoło zalega śnieg, jest zimno ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ to, co działo się ze mną dotąd, odbywało się w zastraszającym tempie i wydaje mi się tylko snem.

Umieszczono mnie w piwnicznym Holu drohobyckiego NKWD. wśród dziewcząt rosyjskich i ukraińskich, jedynie noc spędzam samotnie, zamknięta za żelaznymi kratami, w boksie, wydzielonym w kącie tego holu, gdzie umieszczono żelazne łóżko z materacem. Gdzie spały tamte dziewczęta, nie wiem. Żywiono nas przyzwoicie, z kuchni żołnierskiej straży, nas pilnującej, nie było przesłuchań.

Od pół roku nie miałam kontaktu z rodzicami, nie wiedzieli gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Nadarzyła się okazja wysłania do nich grypsu, przez sprzątaczkę Polkę, lecz mogła to być również osoba podstawiona przez nich celowo, ale pisząc do rodziców nie czyniłam im krzywdy, bo przecież NKWD znało ich adres, dokument paszportowy zawierał dane autentyczne. I oto któregoś dnia, wyprowadzają mnie z piwnicy na górę, do gabinetu, gdzie mogłyśmy się uścisnąć z moją dzielną mamą. Wprawdzie był to tylko moment, bo natychmiast oderwano ją i płaczącą siłą wypchnięto za drzwi. Nie wiem, jakim sposobem wywalczyła sobie to widzenie. Moje gardło ścisnęła ciasna obręcz i tylko wzruszeniem ramion, odpowiedzieć mogę na pytanie oficera, skąd rodzina wie gdzie się znajdują.

Jeszcze nocą wiozą do Borysławia a oficer zapowiada, że za chwilę zobaczę "Agnieszkę". Z ciemnego pokoju widzę kobietę, stojącą przed biurkiem przesłuchującego ją. Oddycham z ulgą, to nie jest "Agnieszka". Teraz mam prawie pewność, że i "Baca" i "Agnieszka" są ciągle wolni i gen. Iwanow okłamał mnie we Lwowie.

Śniegu już nie ma, dni wydłużają się, nawet tu w tej piwnicy, czuje się nadchodzącą wiosnę. W spokoju i bezczynności budzi się tęsknota za wolnością i z każdym dniem jest trudniej, tak bardzo chce się stąd wyjść na słońce, niechby już wreszcie wywieźli.

Pewnej nocy, wszedł do holu oficer i rozkazał zabierać się z "wieszczami". Nakazał wejść do stojącego na podwórku willisa i ruszyliśmy znów w stronę Borysławia. Wóz zatrzymał się nieopodal gimnazjum. Noci, zupełnie pustkowie i rozkaz "idy domoj". Stałam, nie uwierzyłam, gdy oficer powiedział, że teraz tutaj mieszkamy, ale on naglił "idy". Nie było tu domów mieszkalnych, ani nawet czynnych kopalń, ruszyłam więc wolno przed siebie z myślą, że teraz łatwo pozbędą się mojej osoby. Szłam wolniutko, czekając na to nieuniknione i jak pamiętam, nie było mi żal, byłam szczęśliwa, patrząc samotnie na to granatowe, cudowne wiosenne niebo. Gdy doszłam już do gimnazjum i odwróciłam się, ich już nie było, odjechali.

Przypomniałam sobie, że stoi tu jeden, jedyny dom, należący kiedyś do gimnazjum. Był ciemny i tylko jedno okno było oświetlone, pozbawione zasłon a rodzice siedzieli przy kuchennym stole rozmawiając. Cichutko, żeby ich nie przestraszyć, zastukałam



11/12  
w szybę i ojciec natychmiast poderwał się do drzwi. Byłam znów w domu, tu byli moi bliscy i był chyba koniec kwietnia, bo i tej daty dokładnie nie pamięta, za chwilę miała skończyć się ta wojna.

wiedzieliśmy, że czeka nas tak zwana "repatriacja", ale przecież my nie mieliśmy dokąd wracać, to mogła być tylko wędrówka w nieznane, bo owe trzy miesiące ciągłych wezwań do drohobyckiego NKWD były koszmarem a transport wybawieniem. Rodzina wyjechała najbliższym transportem, w wielkiej niepewności czy wogóle uda się wyjechać, w sierpniu 1945 r.

Opisując te moje wspomnienia, chciałam przybliżyć, ale pewnie niezupełnie mi się to udało, jak wyglądała służba bardzo młodej kurierki, dziewczyny oderwanej od domu rodzinnego rzuconej w nieznane środowiska, błąkającej się z miasta do miasta, zdanej na samą siebie i będącej często w trudnych sytuacjach. Nie było to ani proste, ani łatwe w tych trudnych wojennych czasach, wymagało wiele wysiłku fizycznego, jak również psychicznej odporności. Wszędzie była obca i bezimenna, zawsze samotna i jedynie zetknięcia z prawdziwymi ludźmi, pełnymi ciepła i oddania sprawie, pozwoliły jej przetrwać tamten czas, za co jest im do zgonnie wdzięczna.

Mam w tej mojej historii wiele niejasności, ciągle jeszcze szukam, jak dotąd bezskutecznie :

1. Czy jest ktoś, kto zna pseudonim mojego wuja Zygmunta Rudzika i jego funkcję w żydaczowskim AK.

2. Kim była owa osoba ze mną zatrzymany we Lwowie na ul. Jabłonowskich 4. Jak doszło do tego dziwnego spotkania w sanitariacie więziennym, czy było ono dziełem NKWD, czy też Organizacji. Jakie były jej dalsze losy.

3. Kim była rudowłosa "Grażyna we Lwowie, która poświęcała mi swój czas i z czyjego polecenia to czyniła.

4. Czy "Agnieszka uniknęła aresztowania.

Ciągle wierzę, że kiedyś, gdzieś przypadkowo, znajdę odpowiedź na moje pytania i dopiero wtedy sprawa zostanie dla mnie zamknięta

Białystok, styczeń 2002 r

Lucja, Helena Bogacz-  
Czerwonka  
"Nike" - "Lucia"

ELŻBIETY  
*Lucja Czerwonka*

Powrót do tamtych lat, mojej wczesnej młodości po 56-ciu latach, ma tę dobrą stronę, iż jestem w stanie dziś, po mozolnych, wieloletnich poszukiwaniach wiele wyjaśnić a i samej pojąć wiele faktów i rozszyfrować ludzi, którzy byli moimi przełożonymi. To, co jest dla mnie ciągle jeszcze tajemnicą, już tylko cudem może się wyjaśnić, ale słaba na to nadzieja.

Swoją historię zaczynam od 1 września 1939 r. w moim mieście rodzinnym Borysławiu - sercu polskiego przemysłu naftowego. Miejsca mojego urodzenia, czarownego dzieciństwa, śmierci mojego dziadka Piotra Bogacza w strasznym wybuchu i pożarze szybu naftowego, miejsca pracy mojego ojca ~~Stanisława~~ Stanisława, obrońcy tej ziemi czasu I Wojny Światowej, moich kolegów wywożonych w 1941 r., sądzonych za patriotyzm a potem w 1945 r. osadzanych w gułagach na wiele lat, rodziny i przyjaciół rozproszonych po całej Polsce i nie tylko a to z tej przyczyny, iż miasta, które ja pamiętam i mam ciągle w sercu już nie ma.

Rozpoczęcie roku szkolnego a i wojny, zaczęło się dla nas na podwórku naszego Gimnazjum i Liceum Im. Kazimierza Wielkiego, w karnych szeregach harcerskich, gotowych do służenia Ojczyźnie. Niestety, ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu, nas najmłodszych odsyła się do domów, nie jesteśmy należycie przeszkoleni. Niestety, za ledwie przez 1 rok 38/39 mogliśmy cieszyć się życiem w zastępach harcerskich. Miałyśmy jedynie przedsmak życia w gromadzie, szkoleń, bo wkrótce nawet nawiązanych przyjaźni nie można było niejednokrotnie utrzymać.

Trwa wojna, jakże różna od tej, jaka ma miejsce w "Polsce Centralnej", jak u nas mawiano, gdzie wróg jest jeden, wiadomy, u nas jest inaczej i chyba trudniej.

Zanim na krótką chwilę weszli do miasta Niemcy, by je szybko opuścić, zetknęliśmy się z nacjonalizmem ukraińskim. Nieoczekiwanie, przynajmniej dla nas najmłodszych, uczących się obowiązkowo w szkołach powszechnych jęz. ruskiego, wychowanych obok sąsiadów a często przyjaciół Rusinów, był to szok niesamowity, gdy dochodziły słuchy o okrutnym mordowaniu wycofujących się przed Niemcami żołnierzy polskich i okolicznych Polaków, mieszkających dalej od miasta, lub w miejskich wsiach polsko-rusińskich. Na moich świadectwach ze szkoły powszechnej, jęz. ruski figuruje tuż po jęz. polskim a i w rodzinach naszych bywali Unicy, przecież mieszałyśmy się przez lata całe i porozumiewaliśmy się bez trudu. Oczywiście słyszeliśmy o wojnie ukraińskiej, w naszych domach mówiło się o tych zmaganiach. Nasi ojcowie, uczestniczący w niej, często wspominali swoją młodość wojenną, w walce o utrzymanie tej ziemi dla Polski. Przecież oni sami tu urodzeni, ich ojcowie i dziadowie, od wieków tu żyjący, na tej Ziemi Lwowskiej, czuli się w swoim do niej prawie. Rok 1939 uświadomił nam, że nawet dość liczni, tak bliscy nam Rusini, są Ukraińcami, że uważają ~~swą~~ tę ziemię za swą ojczyznę a nas traktują jak intruzów, zaborców i będą zwalczać wszelkimi sposobami, niekiedy wręcz średniowiecznymi. Nie byliśmy na taką sytuację przygotowani.

Oszokowani wypadkami, znaleźliśmy się nagle pod okupacją sowiecką, w niezwykłych warunkach bytowych i kulturowych.

Natychmiast otwarto szkoły, więc wróciłam do swojego gimnazjum, które okazało się dziesięciolatką a ja znalazłam się w kl. VI-ej. Zachowano jednak jęz. wykładowy polski, no i nasi dawni profesorowie byli z nami. Wprawdzie usunięto łacinę i wprowadzono jęz. rosyjski i ukraiński, ale byliśmy w swoim gronie i to było ważne. Przyjmowano się te zmiany jako dopust boży, rzecz chwilową, bo dla nas wojna ciągle jeszcze trwała.

Zimą 1939/40 r. zaczęły się wywózki ludności polskiej do Rosji. Z klasy zniknęła Danusia Koterbicka i Jerzy Haluch, zaś z naszego bloku wywieziono sąsiadów Bochenków. Od tego momentu nikt nie był już pewien jutra. Wkrótce aresztowano w naszej szkole polonistę prof. Schmidta i naszego wychowawcę prof. Paczosę, geografa. Wtedy oczywiście

nie mogliśmy wiedzieć, dziś wiadomo, że zostali straceni w miejscu kaźni w Bykowni pod Kijowem. Na tę wiedzę trzeba było czekać wiele, wiele lat.

Zanudzano nas ciągłymi mityngami propagandowymi, filmami, które obce nam kulturowo wywoływały na sali kinowej tupanie, śmiechy. Wobec ciągłej wrogiej propagandy i pogardy dla naszej Ojczyzny - "pańskiej Polszy", rodził się protest, bunt.

Brak żywności, ciągłe kolejki za wszystkim, wyczerpywały. Do miasta wkradał się głód. Nad naszymi domami wisiała ciągle groźba wywózek i aresztowań, Rosjan przybywało z każdym dniem.

W tym czasie zniknął z domu ojciec, który zwolniony z pracy, jako element szkodliwy, jak mu oznajmiono /uczestnik wojny ukraińskiej i bolszewickiej/ wyjechał z miasta, lokując się na wsi, za radą żydowskiego przyjaciela. Mama znalazła zatrudnienie w ogrodnictwie a że wywożono personel do majątków poza miasto, nie zawsze była w stanie wrócić na noc do domu. Nagle zostaliśmy właściwie sami, ja 14-to latka i 3 lata młodszy brat Zbigniew. Rodzice robili co mogli w tej sytuacji, ale przecież niewiele zrobić mogli, więc często bywaliśmy głodni a w wolnych od nauki dniach, biegaliśmy do kolejek po chleb, gdzie panował straszliwy tłok, grożący uduszeniem. Bardzo brakowało nam domu, do którego przywykliśmy w dzieciństwie a nasz dom rozpadał się z dnia na dzień.

W takich warunkach doczekaliśmy rozpoczęcia wojny niemiecko-rosyjskiej 21 czerwca 1941 r. Oczywiście sami w domu brat i ja, obudzeni kanonadą, wybiegliśmy z mieszkania na podwórko, nie wiedząc co z sobą począć. Oboje nasi rodzice dotarli do nas w ciągu dnia z ogromnym trudem, bo mamę usiłowano ewakuować razem z resztą pracowników do Rosji.

Rosjanie uciekając z miasta palili szyby naftowe, od których zajmowały się domy mieszkalne, pożoga szalała. Wyszadzili elektrownię, pozbawiając nas prądu i nie tylko nas, ale i okoliczne miejscowości, wysadzili kopalnię wosku i zbiorniki z ropą w nich zgromadzoną. Miało długo stać w ogniu, widok był wręcz makabryczny.

Krótko przed końcem roku szkolnego, NKWD dokonało aresztowania naszych starszych kolegów. Z chwilą wejścia do miasta Niemców, odkryto w piwnicach NKWD bardzo wiele zwłok ludzkich a wśród nich, naszych kolegów szkolnych, tak niedawno aresztowanych. Zwłoki zdradzały ślady potwornych tortur, jakim poddano tych ludzi. Rozpoznano Dankę lekostaj, sznablównę, Jerzego Kozłowskiego i Edwarda Łobazę. Równocześnie z tym strasznym odkryciem, Niemcy uruchomili pogrom Żydów. Człowiek stawał się bestią i wydawało się, że nie ma przed nią ucieczki.

Jesienią 1941 r. wyjechałam z Borysławia do rodziny do Żydaczowa. Tak w domu uradzono, miało to ulżyć mamie w tej trudnej sytuacji żywnościowej, jaka panowała w mieście. Mimo niechęci i protestów ojca, znalazłam się w domu wujostwa Rudzików. W styczniu 1942 r. kończyłam 16 lat i obowiązywał mnie już w/g Niemców nakaz pracy a Żydaczów zapewniał mi ją w jakimś stopniu przynajmniej chwilowo, choć tylko fikcyjnie. Było mi tu trudno bez mojego domu, koleżanek, miasta. Żydaczów nie przypominał w niczym tego miasta, które znałam z beztroskich pobytów wakacyjnych przed wojną a dawni znajomi zaszyli się gdzieś, zamknęli w swoich domach. Obcowałam jedynie z książkami i nieliczną rodziną tu mieszkającą. Poczulałam się bardzo osamotniona, brakowało mi ludzi bliskich mi wiekiem, brakowało szkoły, ale o niej mogłam zapomnieć na długo, nic nie zapowiadało rychłych zmian w tym stanie rzeczy.

To były pierwsze dni lutego 1942 r. Siedziałam samotnie nad jakąś książką w jedynym ogrzonym pomieszczeniu tego mieszkania, bo reszta ziała straszliwym chłodem ostrej zimy. Brakowało tu opału, o węglu już zapomniano, drewnem dysponowano w ograniczonych ilościach. Do pokoju wszedł wuj Zygmunt Rudzik i jego wieloletni przyjaciel p. Gustaw Cisek, którzy wciągnęli mnie w rozmowę ogólną, na temat toczącej się wojny. Instyktownie zrozumiałam, że jestem sondowana w jakiejś ważnej sprawie, więc gdy padło wreszcie pytanie wprost, czy jestem

gotowa do pomocy w walce z okupantem, moja odpowiedź była twierdząca. Powiedziano mi, że w pracy, którą będę wykonywać wymagana jest niezwykła ostrożność i dyskrecja. Nie wolno zapamiętywać ludzi, adresów i będę w niej zdana na samą siebie a w razie wpadki, nikt nie będzie w stanie mi pomóc, muszę więc być bardzo ostrożna w kontaktach z ludźmi. Przysięgałam na krzyż, powtarzając za p. Ciskiem rotę przysięgi, czego świadkiem był wuj Zygmunt. Miałam pełnić funkcję kurierki dla "Skarbowca", który na zawsze pozostał dla mnie p. Gustkiem, gdyż znałam go dobrze, jeszcze z czasów przedwojennych. Mój pseudonim brzmiał "Nike". O tym, że "Skarbowiec" był wówczas Komendantem Rejonu Żydaczów, dowiedziałam się już po wojnie od niego samego. Dowiedziałam się jeszcze wówczas, że nasza organizacja ma charakter czysto wojskowy, że jest apolityczna a mnie obowiązuje dyscyplina wojskowa i muszę wykonywać wszystkie rozkazy tak, jak żołnierz.

Pisywałam na bibułce drobnym maczkiem, dyktowane przez p. Gustka zaszyfrowane meldunki, które dobrze ukryte w mufce przewoziłam następnie pod zapamiętany adres w Stryju. Ze Stryja wiozłam do Żydaczowa, do domu wujostwa Rudzików rozkazy, prasę konspiracyjną, niekiedy ciężkie walizy wcześniej przez kogoś przygotowane i mogła to być broń, gdyż asystował mi wtedy młody człowiek w kolejowym mundurze ps. "Długi". W tych przypadkach, czekał już na mnie na dworcu kolejowym w Stryju i był przewodnikiem do punktu odbioru przesyłki. Miałam go wtedy w zasięgu wzroku przed sobą, zaś w drodze powrotnej on mnie miał na oku, aż do momentu odjazdu mojego pociągu. Nie pamiętam kiedy i gdzie go poznałam, ani skąd wiem, że był to chłopak z KEDYW-u, nigdy prywatnie nie rozmawialiśmy ze sobą.

Okupacja niemiecka umożliwiła nacjonalistom ukraińskim rozwinąć działania przeciw ludności polskiej, zwłaszcza wiejskiej. Stąd szczególnie nacisk położono na organizowanie samoobrony i ~~xx~~ tak też było na naszym terenie. Wprawdzie mnie przydzielono jedynie sprawę kontaktu ze Stryjem, ~~xxx~~ ale ciągle słyszałam rozmowy na ten temat. Raporty, które pisałam, podawały stany o stratach ludności polskiej we wsiach, mordowanej przez miejscowych nacjonalistów. Wiadomości płynęły z terenu, my przekazywaliśmy je do Stryja.

Żyłam w zupełnym odosobnieniu, żadnych kontaktów z miejscowymi. Jedynie dom i merwowe wyjazdy do Stryja a każdy ryzykowny, wymagający skupienia i czujności. Dom wujostwa Rudzików również stanowił zagrożenie, gdyż tu właśnie zwoziłam nieustannie wszystko, co przekazywał Stryj, a mieli przecież kilkuletniego synka, małego Jęreczka. Szczęściem tego domu było chyba to, że wuj Zygmunt Rudzik, od lat zatrudniony jako "nadzorca wodny" nad rzekami Stryj i Dniestr, u ich styku, zawsze prowadził biuro, które stykało się z mieszkaniem prywatnym. Nikogo nie mógł dziwić tu duży ruch, bo ciągle bywali u niego jego podwładni "strażnicy wodni" w różnych sprawach służbowych. Zapewne tylko to chroniło nas wszystkich i ułatwiało działalność konspiracyjną. Jak bardzo przestępczrzegliśmy konspiracji, mówi fakt, że nigdy nie znałam jego pseudo-nimu, ani funkcji pełnionej. Mniemam, że zajmował się wywiadem, gdyż miał ku temu warunki.

W styczniu 1945 r. aresztowano całe żydaczowskie AK, ludzi wywieziono do Szacht, lecz Z. Rudzik nie zdradził przynależności do AK, mimo przesłuchań, brak więc jakiegokolwiek śladu jego pracy w AK, choć ja wiem najlepiej czym był jego dom dla konspiracji. Po roku ciężkiej pracy w kopalni, wrócił schorowany do kraju, pracował przy odwadnianiu Żuław, zmarł w swoim mieście rodzinnym sanoku.

Kursowałam więc nieustannie do Stryja przez cały rok 42, aż do wiosny 1943 r. w ciągłym napięciu uwagi, w każdą pogodę i zawsze w gotowości do wyjazdu, co powodowało pewne napięcie nerwowe. Właśnie w tym czasie, doniosła mi dawna, wakacyjna koleżanka Ukrainka Sławka Najda, że powinnam opuścić miasto, gdyż jako obcą

osobę, nie tutejszą, umieszczono mnie na liście wyznaczonych na przymusowe roboty do Niemiec. Uprzedza mnie w imię dawnej przyjaciółki, bo zapewne nie mam ochoty tam się znaleźć. Był to ładny gest z jej strony, zupełnie zaskakujący, ponieważ nasze kontakty były zerwane. Zrobiła to o zmroku i widać było, że zależy jej na tym, aby nie być widzianą.

Zaszła więc konieczność wyjazdu z Żydaczowa. Od wiosny 43 zamieszkałam w Chodorowie, oddalonym od Żydaczowa o 30 km. Moim szefem "Skarbowiec" pracował od wielu lat w Urzędzie Skarbowym, który Niemcy przenieśli z Żydaczowa do Chodorowa. To on umieścił mnie w Wydziale Wymiarów Podatkowych w tym urzędzie, bardzo korzystnie, bo z możliwością nie siedzenia za biurkiem a z możliwością przemieszczania się w godzinach pracy. Naczelnikiem Urzędu był Polak mgr. Błaszczyszyn, obsadę również stanowili Polacy. Mając autentyczne dokumenty, śmiało ruszałam w trasę a na węgry mogłam już odwiedzać rodzinę w Borysławiu. Ojciec przestał nalegać na powrót do domu, gdy zorientował się, że jestem w Organizacji, nie wiem jak się tego domyślił, bo nie rozmawialiśmy o tym co robię, ale on wiedział, czułam to i aprobowałam.

W moich czynnościach konspiracyjnych nic się nie zmieniło, wciąż jeździłam do Stryja na polecenia "Skarbowca".

Moje życie się unormowało. Po okresie żydaczowskiego odosobnienia, znów znalazłam się wśród ludzi młodych i życzliwych, choć musiałam zachowywać ostrożność, zawsze o tym pamiętałam. Mieszkałam w małym, ale ciepłym mieszkanku / gaz /, należącym do miejscowego kolejarza, zaś obiady dostawałam u sióstr zakonnych w Caritasie. Do nędznych przydziałów kartkowych dorabiałam wykonywaniem swetrów na drutach dla mojej gospodyni. Lato minęło szybko, jesienią i zimą zawsze bywało trudniej i ze względu na szybkie zapadanie ciemności i temperatury w zimnych pociągach a odległość do Stryja wynosiła już 60 km. Najczęściej musiałam teraz nocować w Stryju, z braku korzystnego połączenia kolejowego. Marzłam okrutnie a zanim zdołałam odtajać pod ogromną pierzyną na kwaterze stryjskiej, należało zrywać się i biec do pociągu. Musiałam się też szczególnie pilnować, gdyż nie wiem czym, zwróciłam na siebie uwagę miejscowego komendanta Policji Ukraińskiej, który usiłował nawiązać ze mną znajomość. Zimą 43 r. znaleziono go zastrzelonego, podobno dawał się we znaki miejscowej ludności, więc ta sprawa sama się rozwiązała a ja przestałam się bać. Do dziś nie wiem jak to właściwie było załatwiane, ale ja nigdy nie zwalniałam się z pracy, ani nie wyjaśniałam swoich nieobecności. Myślę, że cały ten nasz Urząd musiał być w konspiracji z naczelnikiem włącznie.

W pamięci utkwiły mi dwa wstrząsające fakty, związane z moim tu pobytem. Jakoś pod koniec zimy 1944 r. obserwowaliśmy z okna Urzędu dziwny pochód. Główną ulicą miasta, prowadzącą od dworca kolejowego, pędzono pod obstawą wojska korowód ludzi z dziećmi włącznie w stronę rynku. Ze zgrozą i w milczeniu bezsilnym wiedząc, że mogą iść tylko na śmierć, nie byliśmy w stanie wydobyć z siebie głosu. Nagle, jedyna wśród nas miejscowa Niemka zaczęła krzyczeć, że to barbarzyństwo, że gdyby firer wiedział o takich zbrodniach, ukarałby winnych i rozpłakała się. Nikt nie odezwał się a za chwilę usłyszeliśmy strzały z karabinu maszynowego. Kiedy po pracy dochodziłam do rynku, zobaczyłam tłum ludzi i trzy szubienice, na których powieszono bosych mężczyzn. Wokoło kręcili się zabójcy w niemieckich mundurach. Lu dzie tu stojący, ukradkiem ocierali łzy. Nie mogłam patrzeć, rezygnując z obiadu, zawróciłam. A oto drugi obraz z Chodorowa. Też wczesna jeszcze, zimna wiosna 1944 r. Przechodząc obok kościoła, na placu otoczonym murem, widzę wiele chłopskich furmanek z kobietami, dziećmi i starcami. Na wozach okutane dzieci i resztki skromnego dobytku. To uciekinierzy z okolicznych wsi, bezbronni, słabi ludzie, którzy uszli z życiem tylko, pozostawiając dorobek całego życia okrutnym, chciwym sąsiadom. Ci bezdomni nieszczęśliwcy oczekują pomocy, serce boli.

W Borysławiu też żałoba, właściwie straciłam dwu ciotecznych braci. Tadeusz Mokrzycki, wracający z ekipą robotników naftowych z pracy do domu, porąbany siekierami i już pochowany, zaś jego rodzony brat Witold na Majdanku, aresztowany za pomoc Żydom. Jakże ciężka ta wiosna.

Gdy zlikwidowano już Urząd Skarbowy w Chodorowie, wróciłam do rodziny, do Żydaczowa. Wysłano mnie wtedy na kurs sanitarny, który odbywał się w pobliskiej Kochawinie, pod kierunkiem miejscowego lekarza. Razem ze mną szkoliły się też dziewczęta ze wsi samoobronnych naszego Rejonu. Opowiadały mi z dumą jak dobrze przygotowane są ich miejscowości do obrony przed UPA. Po przeszkoleniu miałyśmy być wcielone do leśnych oddziałów i nie pamiętam ile nas było, ale zdaje się że trzy, albo cztery dziewczyny w moim mniej więcej wieku. W miejscowej szwalni, pracującej dla leśnych, uszyto nam mundurki, składające się ze spódnicy-spodni, bluzki z szarego, spadochronowego jedwabiu i szare, sukienne żakiety, dość ciepłe.

Przerwy w zajęciach spędzałam w domu i kiedyś spotkałam przypadkowo Sławkę Najdę., która zapraszała mnie do siebie /była już mężatką/. Zameldowałam o tym i panowie /wuj i p. Gustek/ polecieli mi skorzystać z zaproszenia. Przyjęto mnie nadzwyczaj serdecznie, tak jak to bywało w wakacje przedwojenne, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Sławka nie ukrywała, że jej mąż jest tu szefem i dysponuje oddziałem partyzanckim, ale ich ugrupowanie jest przeciwne mordowaniu Polaków, których uważają również za obywateli tej ziemi. Nie ukrywała lęku przed nadchodzącymi Rosjanami. Żegnałyśmy się serdecznie i już na zawsze, bo i ona i ja musiałyśmy opuścić tę sporną ziemię, którą obie kochałyśmy. Panowie wysłuchawszy mojej relacji z tego spotkania uznali zgodnie, że tworzenie punktów samoobronnych było celowe, gdyż tylko w ten sposób można zmienić nastawienie Ukraińców do nas.

W Żydaczowie oczekiwałam na przydział do oddziału i tak się złożyło, że właśnie w tym czasie, przechodzący koło Żydaczowa oddział leśny zapadł w zaroślach nad rzeką Stryj, koło wsi Zalesie. Nakazano mojej ciotce ps. "Zocha" - Eufrozyna Rudzikowa i mnie dowieźć im nad rzekę żywność. Uczyniłyśmy to w asyście "Długiego" /musiał towarzyszyć oddziałowi, bo ja stykałam się z nim w Stryju/ który powoził furką, na której był przygotowany prowiant dla partyzantów. Był z nami synek ciotki Jerzy, zabraliśmy ze sobą piłkę, aby upozorować małą wycieczkę, bo dzień był piękny. Tego samego dnia popołudniem zjawił się w naszym mieszkaniu mężczyzna, który przedstawił się jako Inspektor "Juhas" i polecił ciotce i mnie wyjechać z miasta natychmiast, ze względu na możliwą dekonspirację, co byłoby zgubne dla miejscowej organizacji. Ciotka z dzieckiem wyjechała do Stryja, ja znalazłam się w Kochawinie, skąd dnia następnego "Juhas" zabrał mnie do Stryja. Przez drogę zaznajamiał mnie z życiem w partyzantce, ale w taki sposób to robił, jakby miał zamiar zniechęcić mnie do tej służby. Gdy weszliśmy do jakiegoś lokalu, siedziało już tam dwoje ludzi. Wysoki, przystojny pan w średnim wieku, którego "Juhas" przedstawił ps. "Baca" i dziewczyna, małego wzrostu, drobnej budowy ciała ps. "Grażyna". Chwilę rozmawiali, ale moją uwagę zwróciło to, że "Grażyna" zwracała się do "Juhasa" imieniem Andrzej, a on przekazywał jej wzrokiem i nieznacznym gestem, aby nie używała tego imienia. Pochwycałam to kątem oka i pomyślałam, że on nie życzy sobie, abym znała to imię, czy też może pseudo, ale "Grażyna" nie zrozumiała jego gestów.

Nie jestem przygotowana na to co dzieje się po chwili. "Juhas" bardzo oficjalnie, służbowo zwalnia mnie z przysięgi, zabrania powrotu do Żydaczowa, dziękuje za dotychczasową służbę, którą jak powiedział chlubnie pełniłam. Jestem oszołomiona, rozczarowana i zawiedziona, gdy potrząsa moją dłońią awansując do kaprała podchorążego i odznacza jakimś medalem, nie pamiętam jakim, ale to ma nastąpić już po zwycięstwie. Oddziały leśne nasycone są sanitariuszkami i nie ma dla mnie przydziału.

Gdy już siedzimy po tej "gali" przy tym dużym stole konferencyjnym, pokrytym zielonym sukniem ja z zamętem w głowie, docierają do mnie słowa "Juhasa", że chociaż właściwie jestem już wolna, to jed

nak może w związku z tym, że wracam do domu, do Borysławia, zechciałabym podjąć się znanych mi przecież obowiązków na tamtym terenie. Obecny tu "Baca", w ramach reorganizacji, obejmuje właśnie teren drohobycki i potrzebny mu ktoś bardzo zaufany, no i o mnie pomyślano. Oczywiście mogę odmówić, bo jestem już wolna, ale kurierka jest bardzo pilnie potrzebna. Propozycję przyjmuję, więc jest tylko za leczenie zmiany pseudo, które zmieniam na imię "Lucia".

Nasza trójka przybyła do Drohobycza końcem czerwca 1944 zaraz po pamiętnym zbombardowaniu rafinerii Polmin, dywanowym nalotem aliantów. Towarzyszyłam "Bacy" w spotkaniach z ważnymi osobami w Drohobyczu, Samborze i Borysławiu i miałam być jedynym łącznikiem między nimi i "Bacą". Nie wiem kim byli ci panowie, ale zapamiętałam borysławskie spotkanie, gdyż odbyło się u jednej z naszych sąsiadek, w bloku Moraczewskiego, w którym mieszkali moi rodzice. Ową pan był kierownikiem kopalni i był to p. Zborowski. Na jednej z podlegających mu kopalni zostałam zatrudniona, właściwie fikcyjnie jako kancelistka, gdyż przy moich zajęciach nie mogło być mowy o normalnej pracy, ale zaświadczenie o niej było potrzebne. Nie pamiętam jej nazwy, ale mieściła się gdzieś na Horodyszczu, bo czasem tam wpadałam. Obsługiwałam kuriersko Borysław i Drohobycz, jak i Sambor, ale głównym kierunkiem był ciągle Stryj, skąd płynęły dla nas dyrektywy.

To był już bardzo krótki okres do wejścia Rosjan, ale jakże wyczerpujący, bo odległości między moimi miastami pokonywać musiałam rowerem, gdyż cywilnej komunikacji kolejowej już nie było. Z Borysławia do Drohobycza biegałam pieszo, na skrót i nie zawsze nocowałam w domu, u rodziców. Właściwie rodzina nie miała ze mnie pożytku, do domu jedynie wpadałam na krótko. Ta sytuacja była bardzo trudna. Z mieszkania poznikało wiele rzeczy i ciągle brakowało jedzenia. Podpatrzyła to Komendantka WSK p. "Agnieszka" i musiała zameldować o tym "Bacy", bo przy najbliższym spotkaniu "Baca" bardzo się na mnie gniewał, że nie powiedziałam mu o tym i polecił pobrać z magazynów AK żywność. Było mi wstyd, ale jednocześnie cieszyłam się, że chociaż tyle ma ze mnie rodzina.

Jak już wspomniałam, pokonywanie tras rowerem pomiędzy Drohobyczem, Samborem i Stryjem było nie tylko wyczerpujące, ale i ryzykowne, zwłaszcza przez nieprzyjazne wsie ukraińskie i tego bałam się najbardziej. A oto co zapamiętałam z ostatniego powrotu pociągiem ze Stryja do Drohobycza. Jest jasny, słoneczny dzień, radzieckie kukuruźniki krążą nad miastem zrzucając bomby, ja muszę jakoś wrócić do Drohobycza z pismami dla "Bacy", Dworzec kolejowy zbombardowany, ostrzeliwany przez latające nad nim samoloty. Wszędzie pełno gruzu, ale wśród tego za mieszania dostrzegam na odległym torowisku pociąg zapełniony wojskiem. Docieram przez rumowiska do składu pociągu i pytam żołnierza siedzącego na lorze czy to pociąg do Drohobycza. Odpowiada twierdząco, więc wyciągam rękę a on wciąga mnie na lorę, ale zmusza do skulenia się i mówi znacząco "oficir". Nie mogę z nim rozmawiać, gdyż nie znam niemieckiego, ale to żołnierz frontowy, porozumiewamy się gestami, zbieraniną słów rosyjskich i pospolitych niemieckich. Domyślam się, że nie może zobaczyć mnie oficer i stosuje się do tej wskazówki. Mój rozmówca jest podoficerem, starszym już człowiekiem, jest tu jeszcze obsługa karabinu maszynowego, ostrzeliwująca ciągle nadlatujące samoloty, ale zdenerwowana zbyt długim postojem na stacji. Zdenerwowanie udziela się i mnie, ale wreszcie pociąg rusza. Żołnierze otwierają konserwy, kroją chleb, częstują mnie, są bardzo uprzejmi. Wreszcie Drohobycz. Pomagają w wydostaniu się z lory, jestem im bardzo wdzięczna, dziękuję, zaś "Baca" bardzo zadowolony z mego powrotu. I jeszcze jedno wspomnienie zapamiętane, bo ważne. Oddziały leśne samborskie, przystąpiły do walki z Niemcami o Sambor i "Baca" musi tam być, tyle wiem. Siedzę więc na koźle drabiniastego wozu obok "Bacy", przed nami para rosłych koni Niemcy obsadzili most nad Dniestrem i minują go właśnie, ale o dziwo przepuszczają nas, uprzedzając jednak, że w każdej chwili

może być wysadzony, musimy więc się spieszyć, jeżeli chcemy wrócić. Pędzimy przez miasto zasypane szkłem i gruzem, jakby wymarłe, ostrzeliwane artylerią. Wchodzimy do jakiegoś opuszczonego domu i natychmiast zjawiają się ludzie uzbrojeni z opaskami biało-czerwonymi na ramieniu. "Baca" poleca mi tu czekać na siebie i odchodzi z tymi ludźmi. W domu ani żywego ducha, okna szeroko otwarte, brzęczą od wybuchów. Strzelanina wzmaga się. Czuję się nieswojo w tym obcym domu i nie pozostaje mi nic innego, jak wyciągnąć się na tym wygodnym tapczanie, tak bezpiecznie ustawionym w kącie pokoju. Przez otwarte okno wskakuje do pokoju wystraszony kot i tuli się do mnie. Oboje, nie wiadomo kiedy wpadamy w zbawczy sen. Dopiero głośny śmiech mężczyzn przywołuje mnie do rzeczywistości. Nie wiem co ich tak rozbawiło, więc czuję się niepewnie. "Baca" popędza konie, lecz za mostem zatrzymują nas Niemcy i za chwilę wóz pełen rannych żołnierzy, załadowano też ciężko rannego, chłopca prawie, który straszliwie jęczy, jest ranny w brzuch. Bardzo mi go żal i przypominam sobie "Juhasa" - skąd on wiedział, że nie nadaję się na sanitariuszkę? Rannych ludzi zostawiliśmy parę km. dalej, w przyfrontowym lazarecie, do Drohobycza przyjechaliśmy jeszcze przed zmrokiem.

Czas był niezwykle nerwowy, przygotowywano się do zetknięcia z Rosjanami a przecież pamiętano ich tu z poprzedniej ich bytności. Łudzono się jednak, że teraz będzie inaczej, byliśmy przecież sojusznikami i walczone już wspólnie.

Ze Stryja przywożę rozkazy wystąpienia przed sowietami i mamy ich już w mieście. Trochę strzelaniny i wychodzimy z "Grażyną" do miasta. Zobaczyłyśmy te pierwsze oddziały, świetnie uzbrojone, porządnie umundurowane, to nie było wojsko, które znałyśmy.

Wkrótce, pewnego dnia rankiem, odebrałam rozkaz "Bacy" przekazany mi przez "Grażynę", że mam jechać do Stryja z meldunkiem, że "Baca" wychodzi na rozmowy z wojennym Komendantem Miasta. Nie miałam pojęcia, że z takim pośpiechem będę pedałować z powrotem, z rozkazem wstrzymania się od tych kontaktów. Niestety, było już za późno, "Baca" był u nich. W wielkim niepokoju czekałyśmy z "Grażyną" do wieczora, potem całą noc i miałyśmy wręcz pewność, że "Bacę" zatrzymano. Koło południa wyszłyśmy z kwatery, z postanowieniem zasięgnięcia języka w Komendzie Miasta o jego losie. Dla uzasadnienia naszej ciekawości podając się ona za żonę, ja, jego siostrę. Nasza kwatera mieściła się w domu, leżącym na skraju miasta i droga prowadząca doń była polna, znaczone dwiema kolejniami wśród łąki i gdy już prawie dochodziłyśmy do drogi miejskiej, skręcił z niej w naszą stronę kryty łazik wojskowy, zatrzymując się obok nas. Z auta wysiadł "Baca" a za nim oficer radziecki i podchodzili do nas. "Baca" przedstawił mi "Grażynę" i mnie, jako swoje współpracownice, ów oficer wyciągnął do powitania dłoń i przedstawił się jako "pałkownik-generał", tak dwuczłonowo, ale w pamięci pozostał mi jako gen. Iwanow, bo takie nazwisko wymienił. Był uśmiechnięty i uprzejmy a przytrzymując dłużej moją dłoń, w swojej wypowiedzi te pamiętne słowa: "tak my tiepiej sajuzniki". Jeszcze kilka uprzejmych zdań i pożegnanie, odjechał.

"Baca" pochwalił nas za opuszczenie kwatery, był zadowolony, że to spotkanie odbyło się na terenie neutralnym. Dopiero teraz okazał swoje zdenerwowanie. Opowiadał przebieg pobytu w ich kwaterze, gdzie panowała ogromna radość z łatwego zdobycia Drohobycza. Nie dopuszczano do poważnych, wiążących rozmów, wielkim piciem świętowano zdobycie miasta, zmuszając grupę Polaków do spełniania toastów. Powiedziałam mu o rozkazie, który przywozłam ze Stryja i o tym, że stryjskie oddziały leśne zostały internowane. Był załamany. W pewnej chwili zobaczyłyśmy na jego dłoni małą fiolkę. Patrzyłam na nią i mówiłam, że nie może dostać się w ich ręce żywy a gdy my zażądałyśmy dla siebie tego samego, odpowiedział, że nasza wiedza konspiracyjna jest tak nikła, że nikomu nie przyniesie szkody a my jesteśmy zbyt młode i życie przed nami.



Widzieliśmy jeszcze naszych chłopców leśnych rozbrojonych, pęzdzonych pod konwojem sowieckim, do Brygitek drohobyckich. Niektórzy z nich podnosili ręce i wołali do nas, stojących pod płótnem, na chodniku. Widocznie niektórzy z nich rozpoznawali, być może "Bacę", lub jedną z nas.

Pod koniec sierpnia wróciłam do domu do Borysławia, z poleceniem bycia w pogotowiu, na wezwanie. Jeszcze czas jakiś wykonywałam ostatnie polecenie "Bacy", polegające na wyprowadzaniu "chłopców" - internowanych w Brygidkach drohobyckich. Odbywało się to zwyczajnie, bo do mnie należało jedynie zjawić się o określonym czasie i miejscu, w okolicy Brygidek i natychmiast pojawiała się grupa, która szła za mną w milczeniu, prowadzona polami do Borysławia a w jakimś miejscu na trasie czekała już na nich inna osoba, która przejmowała grupę i nie wiem, gdzie prowadziła. Wiem natomiast, że zatrudniano ich w przemyśle, chroniąc w ten sposób od przesłuchań a może i wywózki.

Chwilowo byłam pozbawiona obowiązków, nawet z Komendantką WSK p. "Agnieszka" - nauczycielka, p. Frankiewiczówna, nie kontaktowałam się już. Nie mogłam jednak niczego planować dla siebie samej, gdyż musiałam być gotowa na wezwanie. Jesienią 1944 r. zaczęła przybywać ze Lwowa kurierka od "Bacy" - rudowłosa "Grażyna", aż wreszcie późną jesienią przywiozła mi rozkaz wyjazdu do Sambora. Stąd jeździłam do Lwowa przygodnymi autami wojskowymi. Trudne to były jazdy, z pijanymi najczęściej szoferami, po drodze bardzo zniszczonej działaniami wojennymi, pełnej lejów, objazdów przez rzeczki i oczekiwaniem godzinami, w śniegu na odpowiednią okazję. Kiedyś, gdy na wezwanie patrolu nasz szofer usiłował uciec, patrol oddał strzały w naszym kierunku i jeden z pasażerów został postrzelony. Do Lwowa doszliśmy pieszo już późnym wieczorem, gdyż w najbliższej miejscowości wyrzucono nas z platformy auta a rannym zajęła się wojskowa służba medyczna.

Rzecz jasna nie pamiętam czy był to grudzień, czy też może już styczeń 1945 r. gdy zatrzymano mnie we Lwowie. Krótko przebywałam na kwaterze u starszej pani, gdzie nocowałam zwykle w czasie moich poprzednich pobytów we Lwowie. Swoim zwyczajem nie zapamiętywałam nazw ulic, więc i tej nie pamiętam, ale była to krótka uliczka, zakończona bodaj kościołem i mieściła się na lewo, idąc w górę ul. Łyczakowskiej i nosiła chyba imię jakiegoś świętego. We wdzięcznej pamięci pozostała jedynie ta stateczna pani, bardzo milcząca, świeżo ugotowane przez nią kartofle, zalane pachnącym sosem cebulowym, mały pokój z gościnnym tapczanem i ten ciepłutki wełniany koc. Wkrótce wynajęto mi pokój u starszego małżeństwa, przy ul. Łączkiej. Był bezosobowy, ciemny i bardzo zimny. Nie miałam obuwia i strasznie marzłam, w moich pończuchach a był styczeń, bardzo śnieżny. Brodziłam przez zaśnieżone ulice w tych moich butach, stopy miałam mokre i skostniałe. "Baca" wyrwał z notesu kartkę i coś nageyzmolił i podając mi ją polecił natychmiast zgłosić się pod ustnie podany adres. Był zagniewany i powiedział, że to żadna jałmużna, że należy się nam od nich bodaj głupi but.

"Baca" jako zwierzchnik był nieco szorstki w obejściu i bardzo wymagający, ale niezwykle troskliwy o swych podwładnych, w stosunku do mnie niemal ojcowski. Wspominam go z wielkim sentymentem i bardzo żałuję, że nie danym mi było spotkać go w innym czasie. Po dziesiątkach lat mozolnych poszukiwań nikt nie znał tego pseudonimu, doszłam kim był a dopomógł mi w tym prof. Węgierski. Więc kiedy przechodziłam pod jego rozkaz w czerwcu 1944 r. w Stryju, nastąpiła reorganizacja w Okręgu Stanisławów. Dotychczasowy Komendant Inspektoratu Drohobycz ppłk. Władysław Mróz, obejmował właśnie stanowisko Zastępcy Komendanta Okręgu Stanisławów, przyjmując pseudo "Baca". Jego dotychczasowa łączniczka "Marysia", gdy się z nią zetknęłam, nosiła ps. "Grażyna-Bożena", jej nazwisko Julia Korpakówna. W związku z tymi zmianami, poszukiwali nowej osoby, takiej, która nikomu na terenie Drohobycza nie była znana. Stąd moja osoba.

Byłam wówczas jakby pod opieką rudowłosej "Grażyny", która powoli wprowadzała mnie w środowisko lwowskie, ale nie wiedziałam ciągle czego się po mnie oczekuje. Jedynym moim zajęciem, były wizyty w lokalu przy ul. Jabłonowskich 4 u p. "Eleonory" Kom. WSK Stanisławów, Janina Tarnawska, czego wtedy rzecz jasna nie wiedziałam, oraz kontakty z "Bacą".

Na polecenie "Bacy" wyrobiłam sobie paszport rosyjski w Urzędzie miasta, ale nie miałam pracy, żyłam więc niczym ptak boży, na okrucach z przygodnego stołu. Nie miałam pieniędzy, ani domu, bywało jak zwykle głodno. Ta niejasna sytuacja bardzo mi ciążyła. Kontakt stały pomiędzy p. "Eleonorą" i "Bacą", wydawał się bardzo ważny. Pani ta była osobą ciepłą, serdeczną, ale nic bliższego o niej nie wiedziałam. Polecono mi jeszcze spotkać się z "Andrzejem", na znanej mi kwaterze u starszej pani i ku mojemu zdumieniu, spotkałam "Juhasa". Musiał więc to być Insp. Stryja kpt. Pacak-Kuźmirski ps. "Andrzej". Spotkanie to niczego mi nie wyjaśniło i tak mijały dni.

Na krótko przed moją wpadką, byłam przez "Bacę" zaproszona do "Grażyny" z Drohobycza /Julia Korpakówna/. Siedziała za biurkiem, obłożona książkami. Zwierzała się, że ojciec polecił jej odejść z organizacji i zająć się nauką. Poczęstowano mnie herbatą i kanapkami, ale jej matka wydała mi się zbyt młoda, jak na jej matkę a "Baca" usiłował przemknąć się na palcach, przez przedpokój. Nagle, jakby niechcący, podała swoje nazwisko - Borowiczka i zawód ojca - nauczyciel geografii w którymś z gimnazjów lwowskich. To było zaprzeczeniem tego, co wbijano mi do głowy w związku z konspiracją. Byłam zupełnie zagubiona, nie pojmowałam sytuacji, poczułam się dziwnie samotna.

Nie umiem powiedzieć czy po tej wizycie u "Grażyny-Bożeny" spotykałam się jeszcze z "Bacą". w każdym razie bardzo szybko znalazłam się w więzieniu.

Jest 14 luty 1945 r., gdy natrafiam na "kocioł" u p. "Eleonory" na Jabłonowskich 4. w tym dużym pokoju, przy stole, umieszczonym w obszernej wnęce, siedzą zatrzymani, obcy mi mężczyźni i tylko jedna kobieta, którą spotykałam tu przelotnie, lecz nic o niej nie wiem.

Siedzimy w ciszy, każdy ze swoimi myślami i od czasu do czasu tylko dzwonek do drzwi i nie wiemy, czy to zmieniają się strażę, czy wpadł ktoś nowy, bo przy naszym stole nie ma już miejsca, jest ściśle obsadzony. O jakiejś szarej godzinie dnia a wcześniejszym sprawdzeniu czy nie uda się stąd uciec przez toaletę, nagle, spod pościeli zasłanego łóżka, stojącego pod przeciwległą ścianą, wysuwa się powoli i bezwładnie opada drobna, kobieca ręka. Poruszenie, szepty w pokoju, widocznie nie tylko ja to spostrzegłam, bo już krzyki o ciszę naszych dozorców i jeden z nich podbiega do łóżka i ukrywa ją biedną pod pościelą. I szept mej towarzyszki: p. Janina otruła się a w sąsiednim łóżku leży martwy mężczyzna.

Wywożą nas z tego tragicznego mieszkania już nocą. Na obszer- nym placu przed kamienicą dużo wojska i krytych aut transportowych. Sadowią nas luźno, pod silną obstawą uzbrojonych żołdatów i wkrótce wpuszczają do dużej sali, o drewnianej podłodze, gdzie szeregiem ułożone śpią kobiety i jest ich dużo, ale żadna nie podnosi się i nie interesuje nowymi, muszą być jak i my bardzo znużone. Kładziemy się obok leżących już i koleżanka szepce mi do ucha, że p. Janina otruła się i zrobił to też mężczyzna, którego zastało u niej NKWD. Jestem potwornie wyczerpana długim, makabrycznym dniem i chyba głodem, bo nawet to, że jak powiedziała jesteśmy w więzieniu łąckim, nie zrobiło na mnie wrażenia, momentalnie usnęłam. I nagle zapala się światło i wywołują mnie. Ciemny pokój, ostre światło na mnie skierowane, personalia, wymyślanie od bandytów i pytanie kto mi dał paszport. Moich słów śledczy nie słu-cha, tylko wrzeszczy, że jest on fałszywy i domaga się, abym powiedzia-ła skąd go mam. Krzyki i razy, jestem mało przytomna z wyczerpania i bólu, utrzymuję, że handlowałam wełną z lokatorką tego mieszkania i nic nie wiem. Wreszcie znów na znanej sali, moja towarzyszka serdeczna i współczująca, ale za moment wywołują ją. Nie pamiętam nazwiska, zapadam znów w zbawczy niebyt i nie wiem, kiedy ona wróciła, ale jest na sali. Kobiety nieufne, oszczędne w słowach, obce sobie.

I nagle izolotka, gołe sprężyny zdezelowanego łóżka, i światło u sufitu nie gaszone nocą, rażące oczy. Z krótkiego pobytu z więzie-

nia łączkiego, zapamiętałam ową piwniczną izolatkę, skąd nocą zabierano mnie na górę i z ciemnego pokoju przesłuchań, kazało rozpoznawać osoby, siedzące w sąsiednim, oświetlonym pokoju, właśnie przesłuchiwane. Wracałam prawie szczęśliwa, gdyż nie było tu nikogo z osób znajomych mi. Jeszcze jedno, spokojnie już przesłuchanie i strażnik, prowadzący mnie po korytarzach i schodach, dotąd zawsze milczący mówi, że idziemy do "samowo głównowo naczalnika". Wypowiada te słowa z wielkim respektem, patrzy na mnie z podziwem, widocznie nie tak często się to zdarza.

Jasny gabinet, za biurkiem uśmiechnięty, znajomy "sojuznik" z drohobyckiego spotkania - gen. Iwanow. Uświadamiam sobie, że nie mam już odwrotu i lęk gdzieś się ulotnił, bo sytuacja jest jasna, wita mnie jak znajomą. Jemu chodzi tylko o "Bacę" i "Agnieszkę", wymaga, abym podała mu tylko miejsce pobytu "Bacy", że muszę to wiedzieć, bo jako jego kochanka, muszę to wiedzieć. Jest tego pewny. Nie zastanawiając się nad słowami, obrażona dotkliwie, odpowiadam, że "Baca" w tej chwili, kiedy wie, gdzie ja się znajduję, może być wszędzie a ja, jego kochanką nigdy nie byłam, najwidoczniej u nich panują takie obyczaje, nie u nas. Jest wściekły, czerwienieje, podrywa się i bije w twarz tak umiejętnie, że głuchnę i od tego momentu nie słyszę wymyślań tylko ból, bo wali mnie kantem linijki, gdzie popadnie, aż zmęczony, wrzuca mnie w ciemność. Kiedy przychodzę do siebie, ale wciąż jeszcze źle słyszę, stwierdzam, że jest to bardzo ciasne pomieszczenie, ale przez szparę drzwi, wpada trochę światła. Tkwiąc na sterckie tekturowych opakowań, powiększam szparę drzwi, odsuwam te opakowania i robię miejsce dla stóp, podnoszę się i odsłaniam sedes. Jestem w maleńkiej nie używanej ubikacji zarzuconej opakowaniami po "swiniaczkoj tuszonkie". Siadam na klapie sedesu, zaglądam do pokoju Iwanowa, jest pusty. Czuję się tak upokorzona i sponiewierana, że mam ochotę skończyć z sobą i gdyby nie to zakratowane gęstą, metalową siatką okno gabinetu... Długo tu siedzę, aż przychodzi po mnie strażnik i prowadzi do innej celi, gdzie przebywają jakieś kobiety. Nie jestem już sama, śpiemy na betonowej podłodze, ale jest dużo różniej, niż w samotności.

Wkrótce jestem znów w jego gabinecie i on, jakby nic się nie stało, zaprasza mnie do śniadania, które właśnie spożywa. Dziękuję mówiąc, że jestem już po śniadaniu, czym wprowadzam go w wyśmienity nastrój. Śmieje się serdecznie mówiąc iż doskonale wie czym nas tu karmią. Oświadcza, że nie jestem mu już potrzebna, bo i bez mojej pomocy ma zarówno "Bacę", jak i "Agnieszkę". Fascynują mnie te dwie kostki wspaniałego chleba, biały i czarny a otworzona konserwa swiniaczkoj tuszonki pachnie zachęcająco. Wstaje, podaje mi tę białą kostkę chleba i ja ją przyjmuję. Odprowadza mnie do drzwi, otwiera je, wyprowadza na korytarz, gdzie siedzi na szafce jakiś mężczyzna w cywilu, który popatrzwszy na mnie, wykonuje przeczący ruch głową. Kobiety w mojej celi chwytają chleb, dzielą moją zdobycz nie pytając nawet skąd to mam. W naszej celi spokojnie, nie ma przesłuchań, jest nawet jeden spacer na maleńkim podwórku, chodzimy w kółko.

Któregoś dnia pojawia się w celi strażniczka a nie jak zwykle strażnik i wskazując mnie palcem poleca wynieść kubeł do mycia, który jeszcze pusty, niedawno był myty. W zupełnie pustym sanitariacie, natykam się na znajomą z Jabłonowskich, z którą dawno mnie rozdzielono, która dając znak milczenia mówi mi, że wszystko jest w porządku i na dobrej drodze i że mam być dobrej myśli. Nie ma czasu prosić o wyjaśnienia, bo strażniczka stojąca za drzwiami klnie siarczysie po rosyjsku, nagląc do wyjścia. Nie było czasu nawet na podanie sobie ręki. To niezwykle spotkanie wstrząsnęło mną

właściwie nie wiedziałam jak mam je rozumieć, ale dawało jakąś nieokreśloną nadzieję, lecz nie wiadomo właściwie na co.

Rankiem jakiegoś dnia wywołują mnie z celi, wyprowadzają na podwórko, gdzie stoi auto ciężarowe. Niespodziewanie ktoś zarzuca na mnie szorstki koc, krępując mnie jak kukłę, sadzają na odkrytej platformie i auto natychmiast rusza. Wszystko odbyło się w zupełnym milczeniu. Jestem przerażona, skrępowana, głowa owinięta kocem, nic nie widzę. Zanim udało mi się rozluźnić nieco krępujący mnie koc i odsłonić twarz, jesteśmy już za miastem i nie wiem dokąd mnie wiozą. Dopiero, gdy wjeżdżamy do miasta, rozpoznaję, że to Stryj. Za chwilę jesteśmy na podwórku więziennym i oficer mnie eskortujący, pozwala zejść z platformy. Usiłuję rozruszać zdrętwiałe nogi, głowę mam odkrytą, ale tylko przez chwilę, bo gdy człowiek w ubraniu cywilnym, ale karabinem i opaską milicji na ramieniu podniósł w górę rękę, oficer natychmiast zarzucił mi koc na głowę. Nie wiadomo po co mnie tu przywieziono, bo zaraz ruszyliśmy dalej. Rozpoznaję, że jedziemy do Drohobycza, to dobrze znana mi, moja trasa. Zastanawiam się co miała oznaczać ta podniesiona ręka milicjanta, był to znak, ale dla kogo właściwie?

Nie mam pojęcia jaki to miesiąc a zwłaszcza dzień, zagubiłam się w czasie już dawno, ale wokoło zalega śnieg, jest zimno ~~xxxxxx~~ ~~xxxxxx~~ to, co działo się ze mną dotąd, odbywało się w zastraszającym tempie i wydaje mi się tylko snem.

Umieszczono mnie w piwnicznym Holu drohobyckiego NKWD. wśród dziewcząt rosyjskich i ukraińskich, jedynie noc spędzam samotnie, zamknięta za żelaznymi kratami, w boksie, wydzielonym w kącie tego holu, gdzie umieszczono żelazne łóżko z materacem. Gdzie ~~x~~ spały tamte dziewczęta, nie wiem. Żywiono nas przyzwoicie, z kuchni żołnierskiej straży, nas pilnującej, nie było przesłuchań.

Od pół roku nie miałam kontaktu z rodzicami, nie wiedzieli gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Nadarzyła się okazja wysłania do nich grypsu, przez sprzątaczkę Polkę, lecz mogła to być również osoba podstawiona przez nich celowo, ale pisząc do rodziców nie czyniłam im krzywdy, bo przecież NKWD znało ich adres, dokument paszportowy zawierał dane autentyczne. I oto któregoś dnia, wyprowadzają mnie z piwnicy na górę, do gabinetu, gdzie mogliśmy się uścisnąć z moją dzielną mamą. Wprawdzie był to tylko moment, bo natychmiast oderwano ją i płaczącą siłą wypchnięto za drzwi. Nie wiem, jakim sposobem wywalczyła sobie to widzenie. Moje gardło ścisnęła ciasna obręcz i tylko wzruszeniem ramion, odpowiedzieć mogę na pytanie oficera, skąd rodzina wie gdzie się znajduję.

Jeszcze nocą wiozą do Borysławia a oficer zapowiada, że za chwilę zobaczę "Agnieszkę". Z ciemnego pokoju widzę kobietę, stojącą przed biurkiem przesłuchującego ją. Oddycham z ulgą, to nie jest "Agnieszka". Teraz mam prawie pewność, że i "Baca" i "Agnieszka" są ciągle wolni i gen. Iwanow okłamał mnie we Lwowie.

Śniegu już nie ma, dni wydłużają się, nawet tu w tej ~~xx~~ piwnicy, czuje się nadchodzącą wiosnę. W spokoju i bezczynności budzi się tęsknota za wolnością i z każdym dniem jest trudniej, tak bardzo chce się stąd wyjść na słońce, niechby już wreszcie wywieźli.

Pewnej nocy, wszedł do holu oficer i rozkazał zabierać się z "wieszczami". Nakazał wejść do stojącego na podwórku willisa i ruszyliśmy znów w stronę Borysławia. Wóz zatrzymał się nieopodal gimnazjum. Noci, zupełnie pustkowie i rozkaz "idy domoj". Stałam, nie uwierzyłam, gdy oficer powiedział, że teraz tutaj mieszkamy, ale on naglił "idy". Nie było tu domów mieszkalnych, ani nawet czynnych kopalń, ruszyłam więc wolno przed siebie z myślą, że teraz łatwo pozbędą się mojej osoby. Szłam wolniutko, czekając na to nieuniknione i jak pamiętam, nie było mi żal, byłam szczęśliwa, patrząc samotnie na to granatowe, cudowne wiosenne niebo. Gdy doszłam już do gimnazjum i odwróciłam się, ich już nie było, odjechali.

Przypomniałam sobie, że stoi tu jeden, jedyny dom, należący kiedyś do gimnazjum. Był ciemny i tylko jedno okno było oświetlone, pozbawione zasłon a rodzice siedzieli przy kuchennym stole rozmawiając. Cichutko, żeby ich nie przestraszyć, zastukałam

w szybę i ojciec natychmiast poderwał się do drzwi. Byłam znów w domu, tu byli moi bliscy i był chyba koniec kwietnia, bo i tej daty dokładnie nie pamięta, za chwilę miała skończyć się ta wojna.

Wiedzieliśmy, że czeka nas tak zwana "repatriacja", ale przecież my nie mieliśmy dokąd wracać, to mogła być tylko wędrówka w nieznane, bo owe trzy miesiące ciągłych wezwań do drohobyckiego NKWD były koszmarem a transport wybawieniem. Rodzina wyjechała najbliższym transportem, w wielkiej niepewności czy wogóle uda się wyjechać, w sierpniu 1945 r.

Spisując te moje wspomnienia, chciałam przybliżyć, ale pewnie niezupełnie mi się to udało, jak wyglądała służba bardzo młodej kurierki, dziewczyny oderwanej od domu rodzinnego rzuconej w nieznane środowiska, błakającej się z miasta do miasta, zdanej na samą siebie i będącej często w trudnych sytuacjach. Nie było to ani proste, ani łatwe w tych trudnych wojennych czasach, wymagało wiele wysiłku fizycznego, jak również psychicznej odporności. Wszędzie była obca i bezimienna, zawsze samotna i jedynie zetknięcia z prawdziwymi ludźmi, pełnymi ciepła i oddania sprawie, pozwoliły jej przetrwać tamten czas, za co jest im do zgonnie wdzięczna.

Mam w tej mojej historii wiele niejasności, ciągle jeszcze szukam, jak dotąd bezskutecznie :

1. Czy jest ktoś, kto zna pseudonim mojego wuja Zygmunta Rudzika i jego funkcję w żydaczowskim AK.

2. Kim była owa osoba ze mną zatrzymany we Lwowie na ul. Jabłonowskich 4. Jak doszło do tego dziwnego spotkania w sanitariacie więziennym, czy było ono dziełem NKWD, czy też Organizacji. Jakie były jej dalsze losy.

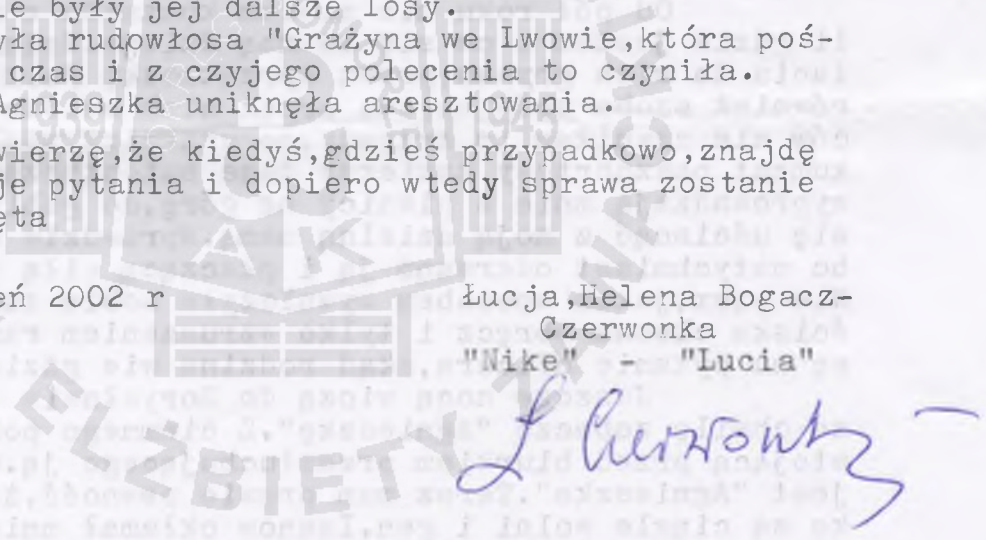
3. Kim była rudowłosa "Grażyna we Lwowie, która poświęcała mi swój czas i z czyjego polecenia to czyniła.

4. Czy "Agnieszka uniknęła aresztowania.

Ciągle wierzę, że kiedyś, gdzieś przypadkowo, znajdę odpowiedź na moje pytania i dopiero wtedy sprawa zostanie dla mnie zamknięta

Białystok, styczeń 2002 r

Lucja, Helena Bogacz-Czerwonka  
"Nike" - "Lucia"

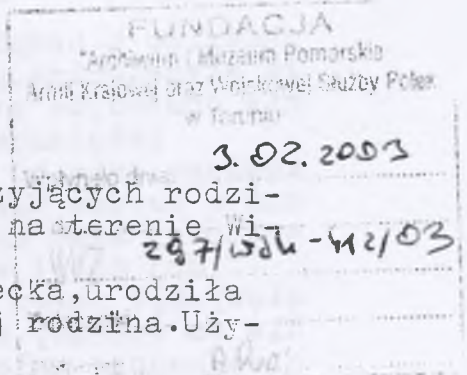


III | 5 - Inne - Relacja Jeneo Budreckiego o rodzinie  
abonenta AK, w tym o matce Janinie Budreckiej  
z d. Kalinowskiej. Data wpl. 3.02.2003. Kserokopia  
K.1.5.1-2.



1115-1

Jerzy Budrecki-absolwent WSR w Olsztynie  
ur.w Wilnie 24.II.1929 r.  
Zam.Białystok,ul.Kormoranów 6 tel.7413099



Chciałbym utrwalić pamięć o moich nieżyjących rodzi-  
cach, członkach Armii Krajowej, działających na terenie wi-  
leńszczyzny.

Moja matka Janina z Kalinowskich Budrecka, urodziła  
się w Białymstoku w r.1905 i tu mieszka jej rodzina. Uży-  
wała pseudonimu "Wanda".

Ojciec Waclaw Budrecki ps."Mars", urodził się na Kau-  
kazie w r.1901 z ojca Litwina i matki wywodzącej się z  
miejscowej ludności. Mój dziadek, uchodząc przed rewolucją,  
zabrał ze sobą synów, pozostawiając żonę z małą córeczką  
na miejscu i rodzina nigdy już się nie połączyła. Dzia-  
dek osiadł na Wileńszczyźnie, gdzie żyła jego rodzina.

Ojciec mój Waclaw Budrecki, do wojny 1939 r. był zawi-  
adowcą stacji kolejowej w miejscowości Ignalino, leżącej na  
linii kolejowej Wilno-Ryga-Leningrad. Wtedy to rodzice opu-  
ścili Ignalino, uciekając na Litwę, gdzie przebywaliśmy do  
r.1941. Kiedy Niemcy zajęli Wileńszczyznę, wróciliśmy, ale  
nie do Ignalina, lecz zamieszkaliśmy w Wilnie, przy ul. Bob-  
rójskiej 16. W tym mieszkaniu odbywały się narady-spotka-  
nia Sztabu Armii Krajowej a odpowiedzialnym za bezpieczeń-  
stwo Sztabu, był ppor. Mirosław Urtate, który wówczas miesz-  
kał u nas. Był on w połowie Osetyńcem. Jego matka Polka, po  
śmierci męża wróciła do Polski i tu wyszła za mąż za kpt.  
Kamińskiego.

Od mamy wiem, że ppor. Urtate wykonał wyrok na skaza-  
nej za współpracę z Niemcami Wyleżyńskiej. Fakt ten miał  
miejsce w okolicy Ostrej Bramy. Z tego okresu pamiętam też  
pisarza Bergiusza, Piaseckiego, który był w grupie ochra-  
niającej Sztab AK w naszym mieszkaniu.

Miałem już 15-cie lat i zdawałem sobie sprawę z po-  
wagi naszej sytuacji, dlatego też skrupulatnie wykonywałem  
polecenia matki, która często wysyłała mnie z różnymi pole-  
ceniami do p. Heleny, która mieszkała w okolicy ul. Mickie-  
wicza i Zielonego Mostu. Kiedyś wysłała mnie pociągiem do  
Troka z jakimś ustnym przekazem. Musiałem jeszcze przepra-  
wić się przez jezioro, aby dostać się do wylęgarni ryb. Za-  
pamiętałem tę wyprawę, gdyż trafiła mi się nieszczęlna łód-  
ka i byłem bliski zatonięcia. Spotkałem tam znajomego jesz-  
cze z Ignalina, chor. KCP-u p. Uhera. Po kilku dniach powróci-  
łem do Wilna.

Wiosną 1944 r. musiały nastąpić jakieś poważniejsze  
aresztowania, gdyż tylko to mogło spowodować natychmiasto-  
we opuszczenie przez nas mieszkania i rozproszenie naszej  
rodziny. Młodszego brata Bogdana umieszczono gdzieś na wsi  
u gospodarzy, matka trafiła do I Brygady Juranda, ja z oj-  
cem, znaleźliśmy się w VII Brygadzie Wilhelä. Ojciec pełnił  
tu funkcję szefa Żandarmerii, zapewne z racji konspiracyjną  
nej pracy w "Dwójce", bo wiem, że miał z nią powiązania,  
przez zawodowego oficera "Dwójki" ps. "Bolesław".

Zapamiętałem kilka faktów z tego pobytu w Puszczy  
Rudnickiej, wśród partyzantów. Kiedyś nocą przechodzili  
przez osadę partyzanci sowieccy i wystraszony wartownik  
rzucił w ich stronę granat, dzięki czemu mieliśmy mięso, bo  
na drodze została przewrócona furmanka a na niej duża świ-  
nia. Z jedzeniem w lesie było bardzo kiepsko. Innym razem  
osadę, w której stacjonowaliśmy, została otoczona przez so-  
wietów, wywiązała się strzelanina i został ranny w nogi  
jeden z partyzantów ps. "Ptak". Były poważne komplikacje, ale  
ranny przeżył. Zdarzyło się też, że małą osadę na skraju pu-  
szczy otoczyli Niemcy. Nasze oddziały wycofały się, gdyż

chodziło o bezpieczeństwo mieszkańców, więc była tylko mała strzelanina, ale do represji na mieszkańcach w osadzie nie doszło, ze strony Niemców.

Pałętałem się wśród partyzantów, ale ojca widywałem każdego dnia, bo mnie dokarmiał. Kiedyś nie było go kilka dni i bardzo bałem się o niego a było to po jakiejś akcji w której brał udział, o czym wiedziałem.

Mój pobyt wśród partyzantów, trwający około dwu miesięcy, był pełen wrażeń, ale gdy rozpoczęły się przygotowania do wyprawy na Wilno, w celu odebrania go Niemcom, ojciec usunął mnie z Brygady.

W jakiejś wsi spotykam mamę i brata i razem powracamy do Wilna. w mieście przebywamy krótko a opuszczamy je eszelonem wojskowym, przemyceni przez żołnierzy radzieckich i lądujemy w mieście rodzinnym matki-Białymstoku.

W Białymstoku zamieszkaliśmy u ciotecznej babki p. Franciszki Serafinowicz, przy ul. Rejmonta 10. Wkrótce też jest z nami ojciec, przybyły z Wilna i rodzice urządzają tu punkt kontaktowy, dla AK-owskich uciekinierów z Wilna. Wiele osób przewija się przez to mieszkanie i zapewne znó zrobiło się niebezpiecznie, bo jeszcze zimą 1944/45 zabiera mnie mama do Grajewa, gdzie zatrudniono ją w Dyrekcji Państwowych Nieruchomości Ziemskich a następnie przeniesiono do Giżycka. Jesteśmy na lewych papierach jako Bordowscy, mama nazywa się teraz wanda Bordowska, mieszkamy przy ul. Staszica.

Tymczasem lokal białostocki na Rejmonta 10 zostaje zdekonspirowany. Mieszkanie babci w trakcie przeszukania splądrowane i okradzione, ale ojciec z bratem wcześniej uprzedzony, zjawia się w Giżycku, lecz z nami nie mieszka. Niestety wrócić musi do Białegostoku, gdyż jest chory i konieczna jest operacja, której się poddaje, lecz w kilka godzin po niej, nie odzyskawszy przytomności, umiera. Zostajemy sami, bo mamę właśnie aresztowano.

Od mamy wiem, że pomocy udzieliła jej wtedy koleżanka z pracy w PNZ p. Halina Hes, Warszawianka, żona Zast. Kom. UB w Giżycku. Zatrzymanie trwało dość krótko i po powrocie mamy z aresztu wróciliśmy do naszego nazwiska-Budrecki.

ELŻBIETA ZAR  
Zurek -



# IV. KORESPONDENCJA

14. III. 2001 - Piśmo „Memoriał gen. M. Wittes do Ł. Czerweli  
9. IV. 2001. Ł. Czerwela do Fundacji msp.  
15. V. 2001 A. Rojewski do Ł. Czerweli  
31. VIII. 2001. A. - II - do Ł. Czerweli  
16. IX. 2001. Ł. Czerwela do Fundacji odp.  
9. X. 2001 A. Rojewski do Ł. Czerweli  
14. XII. 2001. Ł. Czerwela do Fundacji msp.  
10. IV. 2002. Ł. Czerwela do Fundacji odp.  
25. VI. 2002. Fund. - A. Rojewski do Ł. Czerweli  
dopisek 2002 Ł. Czerwela do Fundacji (1/3 A-4) msp.  
- II - 1939 - II - 1945 msp.  
Sierpień 2002 Ł. Czerwela do Fundacji - odp.  
27. I. 2003 - Mały list Ł. Czerweli do Fund. (złoty papier  
A-5 wraz z relacją Janiny Buchreckiej  
opisowa Janiny Buchreckiej (wersja).  
206 III/5 - Inne  
5. XII. 2003 Ł. Czerwela do Fundacji odp.  
7. XI. 2004 Ł. Czerwela do Fundacji odp.  
23. XII. 2004. Ł. Czerwela do Fundacji odp.  
(użytkie listy nie oznaczone inicjał A4.)

IV-1

# MEMORIAŁ

*General Marii Wittek*

Toruń, dnia 14 III 2001r.

1.dz.663 WSK 2001

Pani Łucja Helena Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24 m 59  
15-269 Białystok

*Kopia  
odpisa 3666/2000*

Wielce Szanowna Pani,

W imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej dziękuję bardzo za przyslaną rzeczową, interesującą i cenną relację ze służby wojennej. Relacja wpłynęła 29 listopada ub. roku i serdecznie przepraszam, że odpisuję Pani w 2001r. Uprzejmie informuję, że w naszym Archiwum w dziale Wojennej Służby Kobiet została założonateczka osobowa na Pani nazwisko o numerze inwentarza 2179/WSK. o ile jest to możliwe proszę o przysłanie zdjęcia najlepiej z okresu okupacji, może być zdjęcie legitymacyjne z okresu po wojne. Pragnę nawiązać kontakt z p. Eufrazyną Maliszewską zam. w Kołobrzegu (adres podany w oświadczeniu świadka). Zależy mi na relacji tej Pani, lecz mam kłopot z nazwiskiem Maliszewska - Pryczko, czy Gryczko?. Bardzo się cieszę, że nawiązała Pani kontakt z Fundacją i mam nadzieję, że będzie trwały.

Wysłałam Pani materiały informujące o działalności Fundacji i Memoriału General Marii Wittek. W imieniu całego zespołu pracowników Fundacji serdecznie Panią pozdrawiam, życzę wiele zdrowia i zapraszam do współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*Anna Rojewska*  
mgr Anna Rojewska

Dokumentalistka Archiwum WSK

Lucja Helena Bogaczówna-Czerwonka  
15-269 Białystok, Waszyngtona 24/59  
2179/WSK

*IV-2 w kopercie fot.*

Białystok, 9.IV.2001 r.

*KW*

Szanowna Pani !

Dziękuję za wiadomość, iż moja pisanina dotarła w miejsce przeznaczenia i być może w jakiś sposób okaże się przydatna. Faktycznie pisałam zwięźle, ale nie oczekiwałam zainteresowania ze strony Państwa, obszerniejszą relację moją opublikowano w "Biuletynie Informacyjnym" w Krakowie w piśmie lwowskiego AK.

Nasza więź z Pomorzem, przedwojenna i związana z początkiem wojny 1939 r., jest tragiczna. Tu, w miejscowości Osowa, pracowała przez kilka lat, aż do wojny, jedyna siostra mojego teścia Wiktorii Czerwonka, nauczycielka w miejscowej szkole powszechnej. Leży we wspólnej mogile nawet nie wiem gdzie, gdzieś w okolicy Gdyni. Zginęła rozstrzelana przez Niemców w większej grupie osób wraz z kierownikiem swojej szkoły już jesienią 1939 r. Wieść o tym fakcie doszła rodzinę w wiele dziesiątków lat, gdy jej rodzice dawno nie żyli a umierając wierzyli, że ona jednak żyje gdzieś daleko i nie może dać znać o sobie.

Co do osoby Eufrozyny Maliszewskiej-Gryczko, to z przykrością donoszę, iż od kilku lat nie żyje. Oba nazwiska zachowała, po dwu kolejnych mężach. Jej pierwszym mężem był Zygmunt Rudzik, ściśle współpracujący ze swoim przyjacielem Gustawem Ciskiem Komendantem Rejonu Żydów AK. To dom p. Rudzików w latach 1942 do 1944 był niczym beczka prochu, gdzie zwoziłam ze Stryja wszystko co niebezpieczne. Przez ten czas mieszkałam pod ich dachem. Zygmunt Rudzik został aresztowany zimą 1944 r. i internowany w Szachtach. Nie znam jego pseudonimu, ani funkcji w AK, ale i jego żona również nic nie wiedziała na ten temat. Zniknął po nim ślad, gdyż nie przyznał się do udziału w AK przed władzami sowieckimi i nie wstępował do ZBOiD. Powrócił do Polski w r. 1945 schorowany, pracował w Nowym Dworze Gdańskim przy odwadnianiu Żuław a potem powrócił do swego miasta rodzinnego Sanoka, gdzie zmarł. Eufrozyna znalazła się na Pomorzu w r. 1946 wraz z mężem Zygmuntem, po jego powrocie z gułagu.

Wysłałam trzy reprodukcje zdjęć, jak Pani sobie życzyła.

- 1/ Jest ono zrobione w r. 1935 w Hubiczach-Borysławiu i charakterystyczne dlatego, że żadna z trzech osób na nim uwidoczniona, nie zdawała sobie sprawy, że znajdzie się za lat kilka w konspiracji. Ja, wówczas 9-cio letnią nie mogłam wiedzieć, że p. Wanda Gindówna wyda mi walizę z bronią nie rozpoznając mnie a miało to miejsce w Stryju wiosną r. 1943. Od lewej więc Eufrozyna, zapewne już Rudzikowa, dziewczynka w środku ja Lucja Bogaczówna i p. Wanda Gindówna.
- 2/ Od lewej "Marysia", "Grażyna-"Bożena" - Julia Korpakówna - łączniczka "Bacy", dziecko nie znane i ja "Nike", "Lucia" - Lucja Bogaczówna - kurierka "Bacy". "Baca" to Zastępca Komendanta Podokręgu Stryjsławów

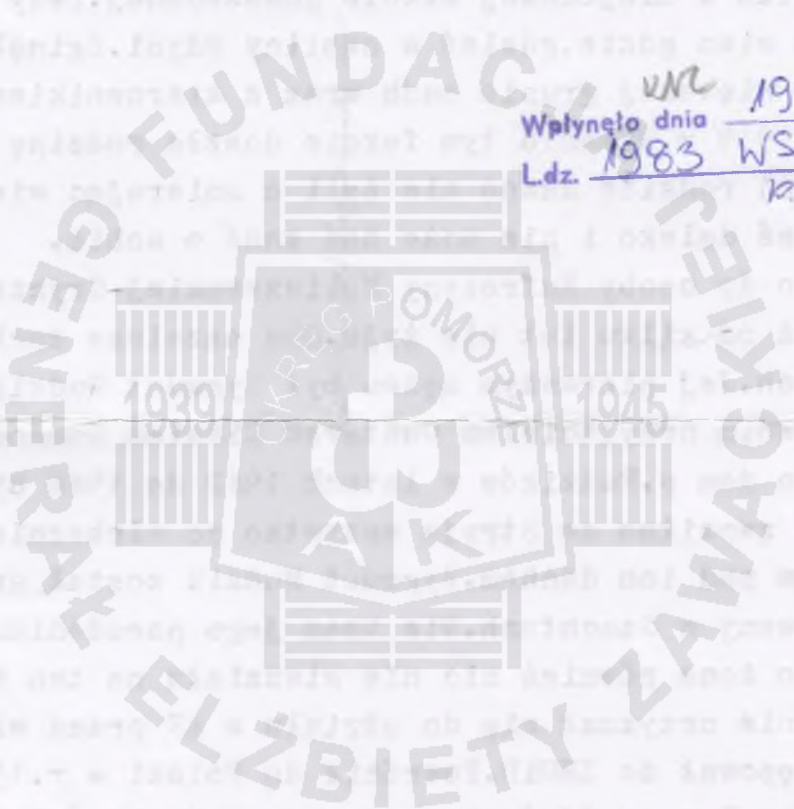
ppłk. Władysław Mróz.

3/ Ja, Łucja Bogaczówna, jaż po repatriacji, uczennica wałbrzyskiego Liceum. Zdjęcie robione w Wałbrzychu, jesienią 1945 r.

Na tym kończę, życzę dużo zdrowia i sił w porządkowaniu przeszłości mego pokolenia.

Z poważaniem

*L. Mróz*



Wpłynęło dnia 19. di.  
Ldz. 1983 WSIK 2001  
R.U.

Droga Pani,

IV

Toruń, dnia 15.02.2007.

Z całego serca dziękuję za przysłane zdjęcie i intensywno napisane informacje o E. Maliszewskiej - Gryczko. Bardzo proszę Panią o spisanie chociaż kilku szeregów o tej, niezwykłej osobie jako matkę, relacji. Może wspólnymi siłami zrealizować na jej nazwisko oddzielną kopertę. Pani relacja jest piękna, jednakże brakuje mi kilka danych (imioba rodziców, nazwisko pamięskie Mamy, w którym roku urodziła Pani żonę) Proszę trochę napisać o sobie, pracy, zawodach. Relacje są pisane w oparciu o schemat, proszę o uzupełnienie. Jeżeli jest to możliwe proszę o skrótkopis legitymacji posiadanych odznaczeń. Bardzo mi zależy na stałym, przyjaznym kontakcie z Panią. Proszę o podpisane zgłoszenia do Memorialu Generali Marii Wittek. Cieszył się, że odpowiadając Pani na mój list i liczę na dalszą współpracę. Życzę wiele zdrowia.

Z wyrazami szacunku Anna Rajewska

dp. 1983

FUNDACJA  
 Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej  
 ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń  
 fax/☎ (0-56) 65-22-186  
 Konto: WBK II Oddział w Toruniu  
 10901506-4675-128-00-0

MEMORIAL GENERALI  
 MARII WITTEK



POW  
 PWK  
 WSK-  
 -AK

OKRĘG POMORSKI  
 1939 1945  
 WSKŁADKA

2d. 2256 48c 01

---

Szanowna Pani Lucja Helena Czernonka

---

ul. Waszyngтона 24 m 59

---

1 5 - 2 6 9      Białystok

IV-5

# MEMORIAŁ

„*o Marii Wittek*”

Toruń, dnia 31 VIII 2001r.

*L. dz. 2918/OSK*

Pani Łucja Helena Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24/ 59  
15 - 269 BIAŁYSTOK

Miła Pani Lucjo,

Minęło trochę czasu od otrzymania ostatniej korespondencji od Pani. Bardzo przepraszam, ale było to spowodowane moimi wyjazdami służbowymi w miesiącu czerwcu na Śląsk, a także rozpoczęły się urlopy w lipcu. Z całego serca dziękuję za przysłaną informację o Eufrozynie. Aby założyć teczkę osobową muszę mieć jej nazwisko rodowe. Jej ojciec nazywał się Bazyl Czuchryja?. Jaka była kolejność jej nazwisk po wyjściu za mąż. W 1935r. wyszła za Zygmunta Rudzika, potem za Maliszewskiego i trzecie voto Gryczko?

Pani Lucjo, teczkę muszę założyć na nazwisko, które było aktualne w okresie okupacji. Czy nazywała się już Maliszewska? W naszej dokumentacji jest to ważna sprawa. Będę Pani bardzo wdzięczna za tę pomoc. Pragnę by nasze kontakty były przyjazne i trwałe. Bardzo mi zależy by podpisała Pani „Zgłoszenie” do Memoriału general Marii Wittek. Chciałabym też Panią poznać. Zapraszam Panią do Torunia. Może wybierze się Pani na listopadową sesję organizowaną przez Fundację. Wysłałam ulotkę wydawniczą. Z przyjemnością wyślę Pani książkę z wydawnictwa Fundacji. W imieniu dokumentalistek Fundacji na czele z p. prof. Elżbietą Zawacką serdecznie Panią pozdrawiam z nadzieją, dalszej współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*A. Rojewski*  
Anna Rojewska

Wojciech, Białystok,  
3179/WSK

IV-6

Białystok, 16. IX. 2001

Szanowno Pani!

Odpowiadam na miły list Pani w sprawie Eufrozyny Mali-  
szewskiej Gryczko. Jest ona córką, Borysiego CZUCHRY. Obaj mi-  
odzionie nazwiska były zamarte na Pomorzu po r. 1950.  
Jej udział w konspiracji AK wiąże się z jej pierwszym mał-  
żeństwem i nazwiskiem Rudzik. Do AK wstąpiła więc ja-  
ko Rudzikowa, udzielając się w Rejonie Żydaków Inspek-  
torat Stryj, Obszar Lwów.

Napisaliśmy do Fundacji z. namowa, p. Hake, oraz z sym-  
patii do Torunia, gdyż córka moja jest absolwentką, Uczelni  
Torunskiej z lat 40-tych. Zapewniano mi, że Fundacja jest  
zainteresowana kobietami AK całego kraju, też przegląda-  
jąc wydawnictwa biblioteki, nie wyduje mi się aby tak było.  
Zdaje sobie sprawę z ogromu takiego przedsięwzięcia i szere-  
gu ograniczeń choćby tylko czasowych i materialnych, więc  
może niepotrzebnie zabrałam Paniom tylko cenny czas. Być  
może, że kiedyś, ktoś dokona czegoś takiego, że stworzy całosci-  
wy obraz życia kobiet całej Polski, nie zapominając o tej  
części kraju, utraconej po 45r. a najmniej poświęconej  
a może jeszcze gorzej oddanej Ojczyźnie, tyle tylko, że ja  
perspektyw tego mi doświadczy.

Najserdeczniej pozdrawiam i pozostaję z pracownikami

Wpłynęło dnia 20.09.01  
Ldz 3179 WSK 2001  
123

+ zgłoszenie



IV - 7

# MEMORIAL

*General Marii Wittek*

Toruń dnia 9 X 2001r.

*Kopia*  
*odp. na 3197*

Pani Lucja Helena Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24m59  
Białystok

1.dz.3383 WSK 2001

15-269

Miła Pani Lucjo,

Bardzo się cieszę, że napisała Pani notkę biograficzną o Maliszewskiej, dzięki czemu w Archiwum WSK została założonateczka osobowa numer inwentarza 2899 / WSK na nazwisko Rudzik Eufrozyna. Wcześniej przysłała Pani także zdjęcie / rodzajowe/, które umieściłam w Pani teczce osobowej nr *2179* WSK. Może uda się Pani zdobyć jej zdjęcie legitymacjne? W miarę możliwości może wzbogacimy tę teczkę, która narazie jest „chuda”. Jestem wdzięczna Pani za zaangażowanie na rzecz „Memoriału”. Pragnę też zapewnić Panią, że nasze Archiwum w dziale Wojennej Służby Kobiet gromadzi relacje kobiet- żołnierzy z terenu całej Polski i Zagranicy, walczących na frontach II wojny światowej. W ulotce informacyjnej o wydawnictwach Fundacji są publikowane głównie materiały z sesji pop. -naukowych, które odbywają się co roku w listopadzie. Jest wydanych kilka części „Służba Polek na frontach II wojny Światowej” np. tom XIX, cz2, t. XXII cz.3, t. XXII cz4, Bibliografia Wojennej Służby Kobiet cz. 6 .

Tegoroczna XI sesja - 18 XI będzie na temat Delegatury Rządu. Zdaję sobie sprawę z uciążliwości podróży z odległego Białegostoku, ale z całego serca Fundacja zaprasza i zaproszenie specjalne będzie wysłane. W przyszłym roku 2002, XII sesja jest zaplanowana na temat rodzaje służb. Zachęcam Panią do napisania referatu ( 6-7 stron). Wszystkie referaty są potem publikowane. Ja proponowałam Pani wysłanie książki o służbie kobiet, chętnie wyślę Pani cz. 4.

Życzę Pani wiele zdrowia pogody ducha i zapraszam do dalszej współpracy z Fundacją.

W imieniu p. prof. Elżbiety Zawackiej bardzo dziękuję za zgłoszenie do Memoriału i serdecznie pozdrawiam.

Z wyrazami szacunku

*Anna Rojewska*  
Anna Rojewska

Dokumentalistka Archiwum WSK

*Tom XXVIII cz. 4*

*MYSIAKO G.G.*  
*12.10.2001*



Białystok, 14.XII.2001 r.

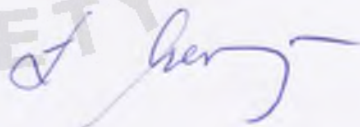
Szanowna Pani !

Dziękuję za serdeczne słowa, bardzo mnie Pani wzruszyła. Co się tyczy Wiktorii Czerwonki, to poza zdjęciami rodzinnymi w albumie i tego co zostało w mej pamięci z tych ciągłych rozmów o Wiktorii, nie mogę podać żadnych konkretów. Nie znam daty urodzenia, ani też rozpoczęcia pracy w Osowej. Mogła to być jej jedyna placówka i musiała być z nią związana, skoro za wszelką cenę starała się tam dostać w ostatnie dni sierpnia 1939 r., wbrew rodzinie, dla której Kaszubi byli Niemcami. Zwróciłam się w jej sprawie do jej żyjących jeszcze bratanków i jeżeli coś uzyskam, powiadomię. Posyłam więc tylko zdjęcie i też nie wiem z jakiego okresu jej życia. Odnotować można jedynie, iż była rodowitą Borysławianką, pochodzącą z woj. lwowskiego.

Referat - relację o mojej pracy ma Pani już u siebie. To, co mogłybyśmy napisać, byłoby bardzo osobiste, może zbyt sentymentalne. Pamięć o tamtym okresie mojego życia, głęboko we mnie tkwi, mogłybyśmy więc napisać raczej opowiadanie o tamtym czasie tak, jak wtedy czułam i odbierałam to z czym się stykałam. Jeżeli taka forma Pani dogadza, proszę dać mi znać a zabiorę się do roboty, gdyż czas jest nieubłagany, biegnie i nie wiemy ile nam go pozostało.

Idą Święta i Nowy Rok, przekazuję więc moje z głębi serca płynące życzenia wszelkich pomyślności Zespołowi Redakcyjnemu Fundacji

Z wyrazami szacunku



Wpłynęło dnia 21 XII  
Licz. 5654 HSK 100  
RU.

Wpłynęło dnia 15.04.2009  
Ldz. 2161 NSKO2  
D.O.

IV-3

Białystok, 10. IV. 2009 r.

Droga Pani!

Ze zyczenia pielnie dziekuję. Oczywiście mi zapomniałam i mi zapomnę, lecz realizacja zamierzeń nie jest łatwa. Teren obcy, ludzie lecili mocno, młodzi, no i to zdrowie. Kłóśnie przyjeżdżam pod radiacyjną i potem napromieniowana, więc kontakty z ludźmi ograniczone na okres około trzech tygodni. No i widzi Pani jak to jest, same wody.

Mojego opowiadania nie czytałam, gdyż mi usłyszałam wyrażenie aprobaty z Pani strony. Jest to próba, może niedługo opisania życia kurierki, bardzo młodej, ścisłe związanej z konspiracją, garść zapamiętanych faktów i ludzi, 11 stron maszynopisu, obejmujące okres 1939 - 1945 r., najważniejszy okres mojego życia.

Od roku namawiam Izę i ożkę drohobyczka do napisania swoich memuarów z pracy w A.K. Jest niepełnosprawna i przechodzi trudny okres adaptacji w swojej wózku w Łobzysku, po opuszczeniu Jasio, w którym dołądziła do mnie. Relację od niej o A.K. Drohobyczko - Borystawskim, odbierałam kilka lat temu prof. Hegerski. Znaliśmy się jedynie z wymiany listów, gdyż kiedy ona musiała zakończyć działalność, ja przybyłam na ten teren i Izę i ożkę nas było osoba „Mamyś” - „Groszyna - Bożena” - Julia Korpalińska.

No, tym kończę, najserdeczniej pozdrawiam

L. K.

MEMORIAŁ  
Generał Marii Wittek

IV-10

Toruń, dnia 25 VI 2002r.

Ld. 2659/USK

Pani Łucja Helena Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24 m. 59  
15- 269 Białystok

Miła Pani Łucjo,

Opracowując archiwalnie Pani teczkę osobową o numerze inwentarza 2179/WSK z przyjemnością i ze wzruszeniem czytałam Pani relację, także wszystkie listy. Mam nadzieję, że nasze kontakty będą przyjazne i trwałe. Wyraziła Pani chęć współpracy z naszym Archiwum jako członkini Memoriału Generał Marii Wittek. Zdaję sobie sprawę jak trudno zbierać relacje i dlatego mam inną propozycję by włączyła się Pani do wypisywania kart informacyjnych nazwiskowych kobiet- żołnierzy. Będzie to duża pomoc w naszych pracach archiwalnych. Wysłałam Pani dwie kartki jako wzór oraz załącznik wstępne wskazówki pisania kart. Może wybierze Pani coś z własnych książek o tematyce wojennej, gdzie występują nazwiska kobiet, ewentualnie mogę wysłać książkę z biblioteki Fundacji. Muszę znać tytuł proponowany do opracowania. Mam też prośbę by przysłała Pani wspomnienia, które ma Pani już przygotowane. Na sesję są przewidziane referaty o służbie wojennej kobiet o charakterze naukowym. Pani pisze bardzo interesująco i dobrze. Materiał ten jest potrzebny do wglądu przez p. Katarzynę Minczykowską, która aktualnie zajmuje się materiałami zgłaszanymi na XII-stą sesję zaplanowaną na listopad br. Jest też możliwość wydania w przyszłości przez Fundację ciekawszych relacji, dlatego proszę o przysłanie maszynopisu. Zapraszam Panią do Torunia. Proszę napisać jakie jest samopoczucie Pani w okresie letnim. Pozdrawiam serdecznie w imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej z propozycją by zechciała Pani być naszą przedstawicielką Memoriału na Białystok. Z Fundacją współpracują małżonkowie Hakke i p. Apolonia Smaczna.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Anna Rojarska

IV - 11

Białystok, lipiec 2002

Droga Pani !

Wpłynęło dnia Włof.  
Ldz 2794 WSK 1002  
D.U.

Dziękuję za list i propozycje w nim zawarte.

Wraz z moimi wspomnieniami okupacyjnymi, wysyłam też wspomnienia pań Wroczyńskich, opowiedziane mi bezładnie, jak to w rozmowie, uporządkowane w miarę możliwości, ale przez nie aprobowane podpisami. Dołączyły też zdjęcie p. Jadwigi ps. "Oleńka", bardzo słabej już fizycznie, ale mocnej duchem. Zapewne nie jest to zrobione fachowo i dlatego nie wiem czy zawracać głowę kolejnej AK-ówce, bo z trzech osób którymi się spotkałam, tylko jedna jest zainteresowana przekazaniem tego, co wie. Wszystkie trzy odsiedziały "gułag" po r. 1944-tym. Pochodzi z miejscowości, w której stacjonował "Łupaszka" ze swoimi ludźmi, po wyjściu z Wileńszczyzny. Pożyczyła mi książkę: "Pseudonim "Łupaszka" Dariusza Fikusa, wydaną przez Ag. Omnipress Warszawa 1990 r. wyciągnęłam z niej kobiety, przeważnie sanitariuszki w/g Pani wskazówek, ale nie wiem czy dobrze to zrobiłam. Mam też wątpliwości w przypadku, gdy wymieniony jest tylko pseudonim, lecz brak nazwiska wymienionych.

Jak się Pani domyśla, bardzo interesuje mnie teren, z którego pochodzę, więc Woj. Lwowski, Inspektorat Stryj, Drohobycz i dalsze. Jestem w posiadaniu książek z tamtego terenu, dzięki prof. węgię rskiemu, ale jest ich tak niewiele. Oczywiście chętnie wykonam to, co jest Paniom w danej chwili niezbędne.

Jakież zabawne jest życie. Spóźniłam się tylko oparę lat a miałam szansę dotarcia do Kom. Pkr. Stanisławów prof. Władysława Hermana z SGGW w Warszawie, choćby przez wujka mojej synowej, też zatrudnionego wraz z żoną, na tej Uczelni. Wtedy, na Jabłonowskich 4 w r. 1945 we Lwowie, siedzieliśmy, przy tym stole we wnęce pokoju p. "Eleonory", zdani jednak na łaskę gen. Iwanowa. To od niego płynęły ze Stryja rozkazy, które ja odbierałam przez dłuższy czas, nie wiedząc kto je daje i nie widząc osoby. Znów nawrót do przeszłości.

Już kończę, najserdeczniej pozdrawiam

L. Lumbowicz

Białystok, lipiec 2002

Droga Pani !

Wpłynęła data Wk. of.  
Licz. 2794 WSK 1002 22  
D. J.

Dziękuję za list i propozycje w nim zawarte.

Wraz z moimi wspomnieniami okupacyjnymi, wysyłam też wspomnienia pań Wroczyńskich, opowiedziane mi bezładnie, jak to w rozmowie, uporządkowane w miarę możliwości, ale przez nie aprobowane podpisami. Dołączyły też zdjęcie p. Jadwigi ps. "Oleńka", bardzo słabej już fizycznie, ale mocnej duchem. Zapewne nie jest to zrobione fachowo i dlatego nie wiem czy zawracać głowę kolejnej AK-ówce, bo z trzech osób z którymi się spotkałam, tylko jedna jest zainteresowana przekazaniem tego, co wie. Wszystkie trzy odsiedziały "gułag" po r. 1944 - tym. Pochodzi z miejscowości, w której stacjonował "Łupaszka" ze swoimi ludźmi, po wyjściu z Wileńszczyzny. Pożyczyła mi książkę: "Pseudonim "Łupaszka" Dariusza Fikusa, wydaną przez Ag. Omnipress Warszawa 1990 r. wyciągnęłam z niej kobiety, przeważnie sanitariuszki w/g Pani wskazówek, ale nie wiem czy dobrze to zrobiłam. Mam też wątpliwości w przypadku, gdy wymieniony jest tylko pseudonim, lecz brak nazwiska wymienionych.

Jak się Pani domyśla, bardzo interesuje mnie teren, z którego pochodzę, więc Woj. Lwowski, Inspektorat Stryj, Drohobycz i dalsze. Jestem w posiadaniu książek z tamtego terenu, dzięki prof. Węgiełskiemu, ale jest ich tak niewiele. Oczywiście chętnie wykonam to, co jest Paniom w danej chwili niezbędne.

Jakież zabawne jest życie. Spóźniłam się tylko oparę lat a miałam szansę dotarcia do Kom. Pkr. Stanisławów prof. Władysława Hermana z SGGW w Warszawie, choćby przez wujka mojej synowej, też zatrudnionego wraz z żoną, na tej Uczelni. Wtedy, na Jabłonowskich 4 w r. 1945 we Lwowie, siedzieliśmy, przy tym stole we wnęce pokoju p. Eleonory, zdani jednak na łaskę gen. Iwanowa. To od niego płynęły ze Stryja rozkazy, które ja odbierałam przez dłuższy czas, nie wiedząc kto je daje i nie widząc osoby. Znowu nawrót do przeszłości.

Już kończę, najserdeczniej pozdrawiam

*L. Lumbow*

P. Amin, może przesłać listy kobiet z tym z obszaru lwowskiego!

22

Wpłynęło dnia 3.9.

IV-13

Bolesław, sierpień 2002 r.

L.dz. 3165 WSK 2002

D.O.

Drogi Pan!

Przesyłam w załączeniu dwie relacje pani Rosińskiej i Koj-  
cihowskiej, Intejnych AK-owek. Na pięć poznanych kobiet, tyl-  
ko te dwie zgodziły się na zwieryszenie. Nawet ich Komendantka  
mi jest zainteresowana a przecież mimo wieku, nie są aż tak  
nieśmiałe, żeby mi mogły samodzielnie napisać o sobie.  
Oczywiście nie posiadają ani zdjęć, ani innych pamiątek z  
tamtych lat. Kasimira pytam o pytanie czy aby nie mają, raczej  
mi chce wyjawiać swoich bolesnych wspomnień, bo jeśli żyje  
się długo, rozumny człowiek zbiera doświadczenia i korzysta  
z nich. Historyki miła tematów „dramatycznych”, którzy telewizji  
jeśli coś „przemycą” to tylko w godzinach nie do oglądania,  
radio woli „musy ex libet” - aby nie karasz się, tylko pytam komu?  
Dziękuję ci z Panią, o tym pamiętnym kontaktami z ludźmi, którzy  
doznali krzywdy, bolesnych przeżyć, dyskryminacji, - mimo  
długiego, ciężkiego życia, żadnej patetycznej dla wyznawa-  
nych ideałów. Czy warto ich niepokoić?

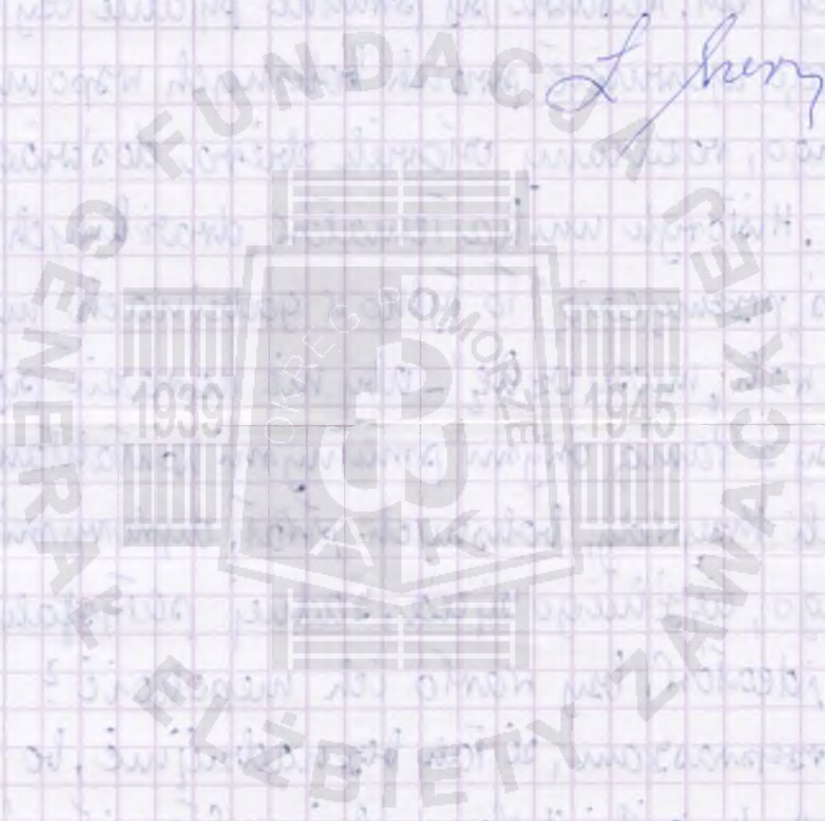
Przepraszam, że tak bez nadziejnie, bo jeżeli chodzi o te  
fizyki z księgi g. Hegerskiego Stanisławów i Tarnopol, to  
będą zrobione, ale to jednak później. Tymczasem 100 naz-  
wisk, lecz jedynie o połowie z nich jest nico danych, co zro-  
bić z to, meszta, jeśli brali nawet pseudonimów, czy je syg-  
nalizować? O wielu zapomniano, ja panna wiem o tym n.p.  
do niedawna była jeszcze p. Józefa Zawonkowska z Jyda-  
cowa, której pseudonim i funkcji w AK mi znam,  
Kryzysowa do Szacht w 45 r., wraz z moim wujem i innymi  
miejscowymi AK-owcami. Mieszkała, po powrocie na Podkar-

14-14

paciu, bez nasz kontakt mi trwało długo. Była samotna i bardzo już chora, gdy trafiłam na jej plac, słabo też mnie pamiętała, gdzie kontakt był łatwy i krótki. Zresztą, kto nogole mógł mi zapamiętać, skoro tylko przemyskałam niemy mien pomiędzy tyłoma, naszymi utracenymi miastami.

Jak Pani trafiłnie zauważyła, najbardziej przydatna mogą być przy tej okazji prace, postaram się więc przygotować one karteczki i wysłać możliwie szybko.

Najserdeczniej pozdrawiam



Lucja Grewonka  
Waszyngton, 24/59  
15-269 Białystok



Fundacja Archiwum i Muzeum  
Pomorskie Armii Krajowej oraz  
Wojskowej Służby Kobiet  
ul. H. Garbary 2  
87-100 Toruń  
/P. Anna Rojewska/



14-15

Białystok, 27.1.2003

Stoga Pani!

Relacja, którą wysyłam będzie już  
pewnie osiągnięta. Do tych kilku pedy-  
me osób udało się dotrzeć i przeko-  
nać je, że warto mówić, reszta mi nie  
na co liczyć. Wogóle przedomsko biało-  
stoczną rozbiłem na wiele grupek, dużo  
krajowych żołni i niechciai. Wyda-  
wało się, że kontakty z tymi swoja-  
nymi osobami zostaną nawiązane,  
ale nie udało się. Na domiar tego  
p. Halka przenosi się do Poznania na  
moje, gdyż mi radzi sobie z niedo-  
tężnym mężem. Dla mnie to duża  
strata osobista, bo zdaje się, że polu-  
biłbyśmy się.

Dla mnie były Polki zawsze się mi zbył

prześliznie, bo z tygodniowym pobytom  
w szpitalu i użycie jezera nie wyje  
się normalnie. Chciałoby się jezera  
kuli zrobić dla przyszłości, ale nie ode-  
mnie to w rzeczywistości. Atmosfera w kra-  
ju mało nam przyjemna. Mój ostat-  
ni kolega, który wzięty wyjechał sto-  
karską, spotyka się z jednoznacz-  
ną odpowiedzią: Temat nie na czasie, czy  
to nie prućne?

Tymczasem Kontarz, przesłany Poniom  
może mieć spóźnione, ale bardzo o-  
siedeczne systemy na Nowy Rok 2003  
zdrowia i satysfakcji z pracy

Z pozdrowieniami

L. Berny

IV - 16

Przemiu Pani Anno!

Proszę wścieć wasz miłka, ja i moja rodzina. Proszę wścieć wasz trudne, wścieć wasz boski, moje pokolenie odcho-  
 dzi, tyle sprawa mi udoku menta, nie wyaw-  
 niomych i mi ukatanych, was' hwaś do pracy tej braki - smut-  
 no. Proszę sobie wyobrazić, że zgłosił się do mnie syn ostwie-  
 ka aresztowanego w tym samym czasie i lokalu na Jabło-  
 nowskich 4 ze Swowie, w którym i mnie zatrzymano. Pan  
 Zbigniew Jabłowiecki szukał tego ojca, całe lata i dopiero  
 dziś otrzymał dokumenty z GPN, NKWD lwowskiego, że za-  
 sądzono go na 10 lat łagron i 5 lat przymusowego „posiele-  
 nia”. Gdzie i kiedy zmarł, proszę wścieć mi wiadomo. Dostaję  
 od niego zdjęć tej Tragicznej Kamienicy lwowskiej od oficj-  
 ny, gdzie się to zdarzyło, bo jej fronton już mam. że też Pa-  
 ni Anno proszę się z nami idzie i mi ma wyzwo-  
 lenia od tamtego czasu. Ponoć jestem jedyną żyjącą, jeszcze  
 osobą z tamtej lwowskiej grupy.

za kilka dni będę już w szpitalu sanatoryjnym w  
 Świnoujściu, więc jestem w trakcie przygotowań do wyjazdu,  
 Trudna i daleka droga, ale konieczna ponoć.

Ogromnie dziękuję za pamięć o mnie, za „Buletyn”  
 i pragnę przetrwać serdecznie pozdrowienia Pani, oraz  
 pozostałym jeszcze w tej plwibii osobom, jak również dobre  
 życzenia świąteczne i na Nowy Rok, już 2004.

L. Kur

FUNDACJA OCHRONY PAMIĘCI	
*Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polak w Toruniu	
16.12.2003	
Wpłynęło dnia:	16.12.2003
Lp.:	9091/ISSU-412/03
Zakres:	
Referent:	

Szanowni Państwo!

Wdzięczna jestem za pamięć o mojej słownej osobie a jednocześnie przykro mi, że nie jestem w stanie uczestniczyć w XII sesji. Tak wiele tracę.

Jakże podziwiam tych wszystkich, którzy potrafili stworzyć to wielkie dzieło, tak bardzo potrzebne w naszym zmaterializowanym świecie.

Życzę uczestnikom sesji zdrowia i długich lat wytrwałości w dokumentowaniu prawdziwej naszej przeszłości. Na pewno mogłyby się już przydać, uprzejmie proszę o podanie adresu nr. konta bankowego Fundacji, abym mogła bodaj w ten sposób przyczynić się do jej trwania.

Pozostaje w głębokim szacunku

*E. Herbut*

<b>FUNDACJA</b>	
* Archiwum i Muzeum Pomorskie	
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek	
w Toruniu	
Wpłynęło dnia: 12.11.2004.....	
L. dz. 2842/WSU-412/04	
Załącznik: .....	
Referent: .....	

FUNDACJA  
GENERALNA  
ELŻBIETY ZAWACKI

BIAZYSKOK 2  
30 08 02 19



Fundacja \*k.\*  
Archiwum Górnoskie  
Armii Krajowej 1945  
ul. Wielkie Garbary 2  
87-100 Toruń

wpłynęło dnia 3/65  
Ldz.                      S.S.  
                     WSh Rod

Lucja Bsetronka  
Waszyngtona 24/59  
15-269 Białystok



Droga Pani Anno!

Jestem wzruszona pamięcią o mnie, dziecku. Pyta Pani czy podoba mi się „Zmierzyn” – jest cenny, poszpera mi wiedzę o tym co działo się w reszcie kraju, gdy ja dreptałam po swoim terenie, jako małe dziecko trybiku tej wielkiej maszyny. Ja jestem wzbudzona na wszystkich, którzy przywracają się do jego istnienia. To cudowne, że są jeszcze ludzie, którzy w naszym zmaterializowanym świecie poświęcają swoje siły i wiedzę w utrwalaniu tamtego czasu. Proszę w moim imieniu pokłonić się Im i życzyć dużo szczęścia.

Przeżyłam przeddzień w pełni wspomnień szereg śliw go obciążenia spędzonego wśród borystawskich pagórków i osłoneknych drzew z tymi, którzy odeszli bezpowrotnie. Samotność mijała wspomnieniom i dobrym i tym bardzo trudnym, a dojrzałość przyszła mi w tych drugich.

Wydarzało się że zmieniające się warunki w kraju spowodują zmianę stosunku do nas, niedobitków AK. Jest nadzieja, przynajmniej tu gdzie żyję. Tu dla meliornych jesteśmy ciągle bandytami od tych z AK. Smutne to i nie ma komu się poskarżyć.

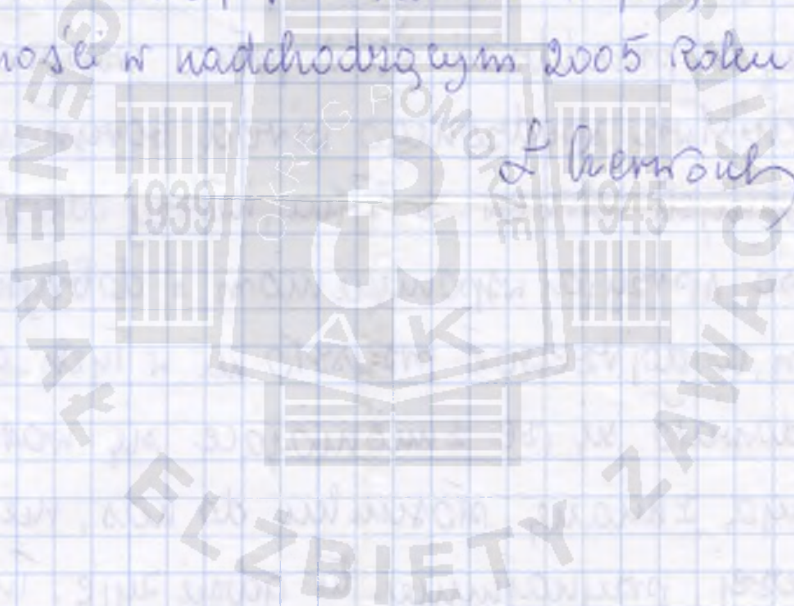
Z Panią pragnę podzielić się wiadomością, medałem wystawioną, która zamyla moją osobistość, historię. Aż do tej pory nie było wiadomym kim był gen. „Iwanow”. W moim przypadku „sojusznik z drokobyckiego wyzwolenia, potem samoj głównej naczelnik z więzienia Łzkiego we łwo wie w r. 1945”. Otrzymał prof. Węgierski podając recenzję

z książki ukraińskiego historyka i zamieszkuje ją w dwóch ostatnich str. „Biuletynu” wyjaśnia kim był Ten człowiek. Mianem to kijowski historyk Głuszyn „Gwanow” To gen. Szatłow, najważniejsza osoba od spraw politycznych w Sztabie i Frontu Ukraińskiego. To prawdopodobnie Ten człowiek osuwał nad likwidowaniem AK na terenach południowych Polski. Mój osobisty, trzykrotny kontakt z nim wrył się głęboko w moją pamięć.

Tyle spraw jeszcze mi wyjaśnijcie a ludzi ubyło nieustannie w tej naszej trudnej historii,

kajperdecynie pozdrawiam, życząc wszelkich pomyslności w nadchodzącym 2005 Roku

Z kierońcy -





v

J. 2178 | MSK

BOGACZÓVNA tucia Helena  
zauw. CZERDNIKA.

IV. Narisiskore karty informacj / me

3. Roj 2014.

AK dros



i

T. 2179/43K

V-1

AK  
Lwów

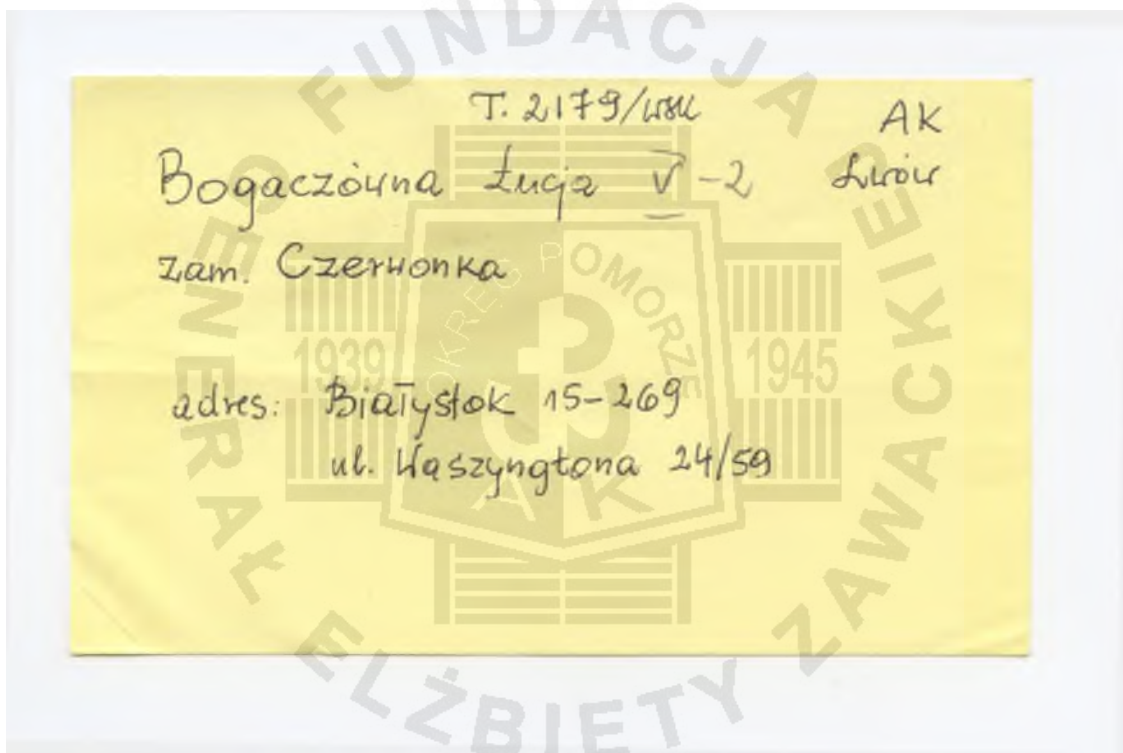
306ACZONNA Lucja Helena  
zam. Czernonka

Urodzona 3. I. 1926 w Borystynie, zapisała się przed  
p. Ciskiem w Żydaczoje. Tożsamość "Nika" potem pod  
wpływem nowych poleceń zmieniła, pseudo "wedzia"  
Była kwaterką, prosy podziemnej i broni. Zaangażowana  
w walce z okupantem niemieckim i 4. samobronie  
poleceni nacjonalistom ukraińskim. Pisała raporty  
o stratach ludności polskiej mordowanej na cmentarzach  
poleceni nacjonalistów ukraińskich. Skrytka Koubeli-  
foza był dom jej sąsiada Rudziaków, w którym od  
dawna działało biuro nadzoru i od niego dostała nek  
strij i dmiestr. Poleceni cały rok 1942 aż do wiosny 1943  
kursowała do Straja. Ostreżona przez koleżankę ukrai-  
ńską - Starke Najde, że powinna opuścić miasto Żydaczoje  
jako "obca" umieszczona w na liście przesiedleńcy do  
pymesowych robot do Niemiec, Lucja dojechała ten  
gost daimej puziacioki.

verte:

Od wiosny 1943r. zamieszkała w Chodorowie, 30 km  
od Żydaczowa. W Chodorowie jej brat Konspiracyjny  
"skarbowiec" umożliwił jej pracę w kłodzie skarbowej.  
Przyjechała, że cała ta kłoda z macielnikiem  
wstępnie był w konspiracji. Pod koniec zimy 1944r.  
była świadkiem zbiorowej egzekucji niemieckiej  
dokonywanej na Polakach. To likwidacji kłody skarbo-  
wego zostało wyłożone na kurs sanitarny pod kierunkiem  
miejscowego lekarza. 14.11.1945 - natrafila na  
Kociot - Digniona i także torturowane. Digniona  
w Dnobycau. Po zwolnieniu wyjechała z rodziną  
na ziemie Odyskane.

B. Rojś 2014.



## VI. FOTOGRAFIE

to zdjęcie jest a T. \*)

1. Hubicze-Borystaw 1935 r. Od Lewej: Eufrozyna Rudzikowa, Lucja Bogaczówna, Wanda Gindówna
2. Drohobycz, lipiec 1944 r. Od Lewej: Julia Korpakówna, dziecko\*, Lucja Bogaczówna.
3. Lucja Bogaczówna, uczennica Liceum, Watbrzych 1945.



\*). W trakcie opracowywania teki stwierdzono brak fotografii (1).  
p. 77

Fundacja

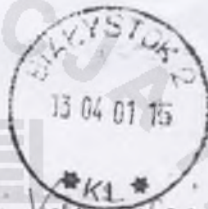
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej

ul. W. Garbary 2

87-100

Toruń

Zdjęcie



FOI O GRAFIE

Lucja Czernonka  
Waszyngton 24/59  
15-269 Białystok

VI. FOTOGRAFIE

3 szt.

Wpłynęło dnia

19.01.

L.dz.

1983 USz 01











ДРОГОВУСЬ - ліпень 1944 г. VI/2

Da lewej:

1) „Marysia”, Bożena Brwynna - Julia  
Korpackowa - Łozmowska „Baży”.

2) dziętko?

3) „Nike”, „Lucia” - Lucja Bogardow-  
ka - Kurierka „Baży”.

Obie podległe „Baży” - 2-ty Kom.

Podokręgu Stawiszańsk - Władysław  
Korol. Mrozkowi - ppłk.



Wałbrzych - r. 1945 jesień <sup>V413</sup>  
Lucja Bogaczówna - uczeńki -  
ca wałbrzyskiego Liceum



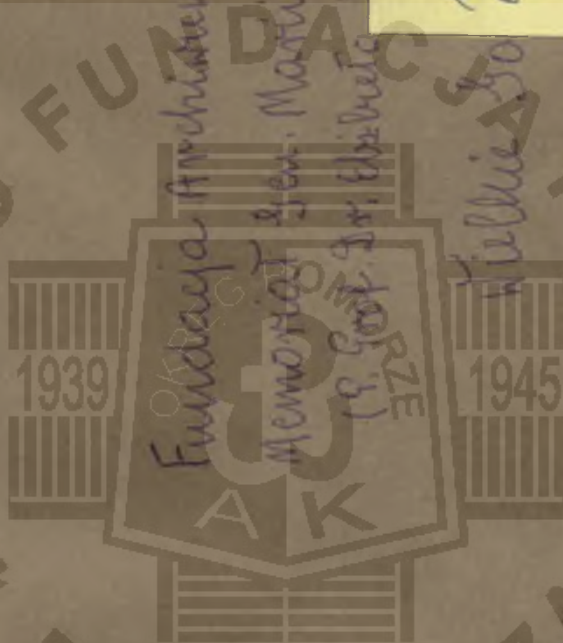
3



Albo prosić  
 o I opł. relacji,  
 o to co widać  
 nr 2 BOK; dnia  
 7/xm 2008 SZ

Lucja Gremionka  
 Kaszyngłowa 24m 59  
 15-269 Piałysłok

Fundacja Archiwum Gromoskie AK  
 Memoriał gen. Marii Kutek  
 (P. Gof. Dr. Elżbieta Gromoska)



Wpłynęło dnia  
 Ldz. 3666 /RSU/ 2008

Lucja Bzewonka  
Karszyńskiego, 24/53  
15-269 Białystok



Fundacja Archiwum Tomarskie AK  
1939 Wielkie Garbary 2  
87-100 Tomar

Wpłynęło dnia 10.01.  
Licz 3187 HSh 1009

Lucja Czerwonka  
ul. Waszyngtona 24/59  
15-269 Białystok



POLSKA 70 GR



FUNDACJA  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
ul. W. Garbary 2  
87-100 TORUŃ

Wpłacono dnia

Licz. 56 59 484

21 XI

484



BOGACZOŃNA Łucja Helena

